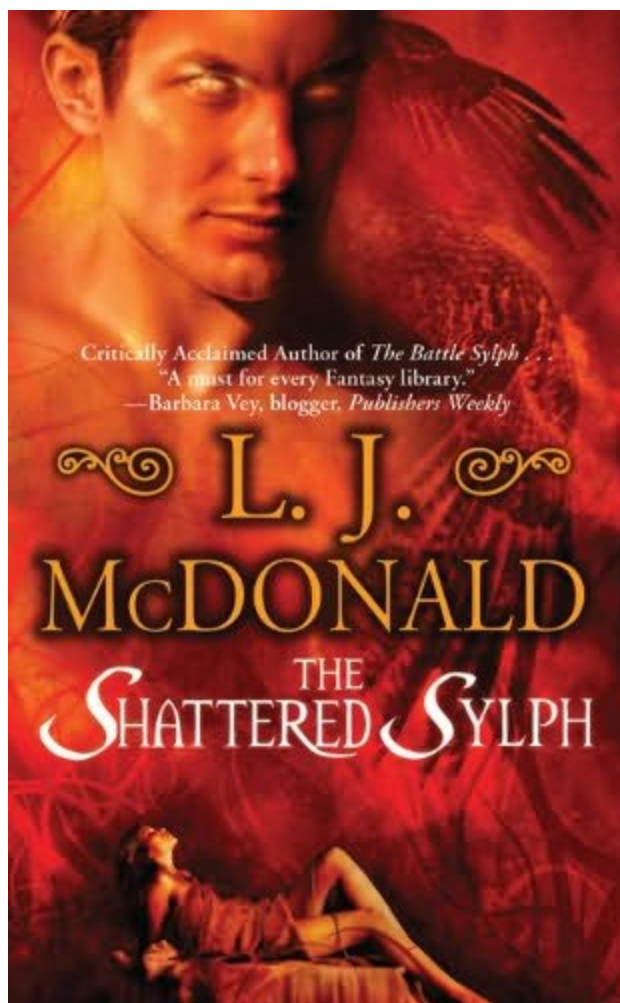


# *L.J. McDonald*



## *Zdruzgotany Sylf*

*Tłumaczyła Rissaya*

*Beta: Averil*

[www.chomikuj.pl/Rissaya](http://www.chomikuj.pl/Rissaya)

Porwana przez handlarzy niewolników, Lizzie Petrule została zaciągnięta w łańcuchach przez Wielkie Morze do skorumpowanego cesarstwa Meridal. Poniżej pływającej cytadeli i oceanu złotych piasków, leży miejsce przyjemności dla gladiatorów i więźniów, gdzie dziewczęta zmuszane są do zaspokajania ich cielesnych pragnień.

Mimo nikłych szans przeciwko nieograniczonej magii, trzech mężczyźni przyrzekli uwolnić Lizzie: Justin, konkurent do jej ręki, Leon, jej ojciec i Ril, zmiennokształtny, ale znużony walką bitewnik. Razem, ta niedobrana grupa może ocalić dziewczynę, ale tylko wykorzystując słowo, które musi pozostać niewypowiedziane, tylko z wrogiem, który jest przyjacielem, i tylko ze zdradą, która w sercu jawi się jako akt miłości.

## Prolog

Mężczyzna znany z okrucieństwa i przemocy, Cherod Mash, przybył do Doliny Sylfów rozglądając się za czymś do picia, bójką i zabawą, bez znaczenia w jakiej kolejności. Przede wszystkim, przybył jednak jako jeden z poganiaczy z karawaną handlową, jako jeden z chętnych, by wypróbować nowe królestwo.

O tym miejscu mówiono, że jest pełne bogactw, kamieni szlachetnych i metali z serca ziemi wydobywanych przez sylfy. Ale żaden sylf nie zmieni tych rzeczy w coś użytecznego. Do tego potrzebni byli rzemieślnicy i Cherod doprowadził tu wozy wyładowane dywanami i użytkowymi przedmiotami z południowego królestwa Yed. Słyszał, że klejnoty są wysokiej jakości, więc kiedy zakończą handel i wozy będą jechać dalej przez góry do Para Dubh, zobaczą, może kupią niektóre cenniejsze rzeczy, przejeżdżając koło morza od Meridal, zabiorą do domu i sprzedadzą z ogromnym zyskiem.

Nie, żeby te sprawy obchodziły Cheroda. Zostawiał myślenie o tym swoim pracodawcom i skupił się na prowadzeniu swojego wolu, a przynajmniej aż dojadą do miasta, gdzie było piwo do wypicia, bójka do rozpoczęcia i kobieta do łóżka. Nigdy wcześniej nie był w Dolinie Sylfów, ale słyszał, że jej mieszkańcy sypiali z sylfami, co dla niego nie miało sensu. To cholerne istoty przez większość czasu nawet nie były całkiem materialne.

Konwój przybył do Doliny późnym popołudniem, woły ryczały, mężczyźni przekrzykiwali trzeszczące wozy. Poganiając swoje własne zwierzęta, Cherod prowadził je przez ulice w stronę miejsca wskazanego przez szefa, ogromnego budynku na końcu ulicy, górującego ponad wszystkim innym. Budynek nie wyglądał jednak jak jakikolwiek magazyn, jaki Cherod widział wcześniej. Był zrobiony z solidnych kawałków kamienia, przez które biegły żyłki metalu, jak jakiś rodzaj choroby.

Budynki, które mijali, były również zupełnie wyjątkowe. Cherod widział sklepy, gdzie ściany były przezroczyste, lub gdzie dachy sięgały do nieba na tuzin lub więcej pięter. Drogi były zrobione z gładkiego kamienia, chodniki podwyższone, a każdy budynek miał schody prowadzące pod ziemię. To było dziwne widzieć ludzi

wchodzących na nie i wychodzących. Co za ludzie mieszkają pod ziemią, albo w budynkach, które wyglądają, jakby byle wiatr mógł je zniszczyć? Wszystkie te budynki wyglądały na kruche. Całe to miejsce mogło spaść na ciebie! Lepszy był przyzwoity dom zrobiony z drewna i kamienia, z prawdziwym dachem, krytym strzechą.

Chociaż, pomyślał, to miejsce może nie być takie złe. Patrzył na trzy kobiety przechodzące przez ulicę. Przeszły szybko koło jego wozu, kiedy droga była wolna. Śmiały się z czegoś, ich twarze jaśniały uśmiechami. Jedna z nich nosiła spodnie jak mężczyzna i Cherod z podziwem spojrział na miejsce, gdzie nogi łączą się z ciałem. Musiały być dziwkami, skoro ubierały się w ten sposób.

Ziemny sylf przeszedł obok, wyglądając jak mała, błotnista dziewczynka. Cherod spojrział szybko, ale znów zwrócił oczy na kobiety. Zagwizdał na nie. Obejrzały się, ale nadal szły chichocząc. Uśmiechnął się. To będzie dobra noc.

Z przodu wozy przetoczyły się przez szerokie wejście do magazynu. Stojący w drzwiach gruby mężczyzna ze spoconą twarzą gestem wskazał im, by wjechali do środka, krzycząc, żeby skręcili na prawo, bo inaczej nie będzie miejsca na wozy.

Cherod skręcił za pozostałymi i nadal myśląc o tych kobietach, prawie wjechał w mur. Gruby przewodnik zapiszczał i Cherod zaklął, po czym szarpnął mocno lejce, żeby skierować swoje woły na bok. Zaczęły ryczeć w proteście i skręcać, koła wozu skrobały o mur, ale zmieściły się. Przez to wszystko Cherod zapomniał o kobietach, szef wkurzy się na niego, jeżeli zadrapie chociaż farbę na tych cholernych kołach.

Tuż wewnątrz magazynu stał ciemnowłosy mężczyzna ze skrzyżowanymi ramionami i obserwował. Był ubrany w niebieskie spodnie i długi niebieski płaszcz ze złotymi obramowaniami. Pierwszą myślą Cheroda było, że to lord, ale szef powiedział im, że w tym miejscu nie ma lordów. Drugim skojarzeniem było, że ten mężczyzna miał coś wspólnego z prawem.

Kiedy wóz go minął, odziany na niebiesko mężczyzna spojrział w górę, ale nic nie powiedział. Cherod patrzył do przodu. Spędził zbyt wiele nocy w areszcie i szef uprzedził go, że jeżeli zdarzy się to jeszcze raz, zostanie zwolniony. Cherod przejechał wozem na tył magazynu, tam gdzie zatrzymał się pierwszy wóz. Z drugiej strony

pojawiły się następne drzwi, jedne z tych, przez które wyjeżdżało się rozładowanym już wozem. Cały sufit był zrobiony ze szkła, wpuszczając więcej światła słonecznego niż było trzeba. Było to przyjemne pomieszczenie, chociaż denerwujące. Zazwyczaj musiał rozładować swój wóz na zewnątrz, bez znaczenia czy wiał wiatr, czy padał deszcz.

Co było nawet milsze, to powietrzne sylfy zaczęły rozładunek. Cherod nie mógł ich zobaczyć, ale dywany i inne dobra wylatywały z wozów i znikaly pomiędzy ogromnym półkami, kiedy szef Cheroda wydzierał się na magazyniera o to, co tu było i w jakim stanie.

Przeciągając się, Cherod zszedł i przeszedł do następnego wozu. Powożący nim Frem obserwował sylfy z otwartymi ustami. Cherod uśmiechnął się.

- Nieźle, co?

- Aha – zgodził się Frem, z nadal z otwartymi ustami. – Chciałbym, żeby tak było wszędzie. Cholera, to miejsce jest inne.

- Taaa. Nie mogę się doczekać żeby zobaczyć, jakie są kobiety.

- Obawiam się, że wiem o tym – przyznał Frem.

Rozładowanie wszystkiego zajęło tylko dziesięć minut, co według Cheroda było rekordem. Mimo to było już za późno, żeby wyjechać przed rankiem. Skoro szef był zbyt skąpy, żeby płacić za pokoje, uważał, że jego ludzie równie dobrze mogą spać pod swoimi wozami, oznaczało to, że mają wieczór dla siebie. Musieli się po prostu upewnić, że wrócą, zanim konwój wyjedzie.

Zapłacono im też od ostatniego postoju. Cherod miał monety w kieszeni i ogromną ochotę napić się.

- Chcesz iść poszukać karczmy? – zapytał Frema. Zawsze było dobrze mieć przy sobie kumpla, który przynajmniej w teorii, powinien być chętny postawić kilka kolejek.

Frem potrząsnął głową.

- Przykro mi, zamierzam wziąć kąpiel i przespać się.

Tchórz. Po prostu nie podobała mu się reputacja Cheroda. Chociaż Cherod tak naprawdę nie żałował. Na dzisiejszą noc był bardziej zainteresowany innym towarzystwem.

- Twoja strata – chrząknął.

Szef machnął na nich, że są wolni. Ogromny mężczyzna był powożącym przez ponad trzydzieści lat. Thul Cramdon był jednym z kilku ludzi, których Cherod szanował. Thul prawie złamał mu rękę uderzając go w nią po pijanemu. Szef był uczciwy, o otwartym umyśle, chociaż dbał o to, czy sam na coś do picia, nie interesował się, co Cherod robi, tak długo jak się nie spóźnia i nic nie kosztuje Thula.

- Tu jest miejsce, gdzie możemy zostać na noc z wozami i wołami – powiedział im Thul. – Zapłatę dostaniemy jutro i wyjeżdżamy – podrapał swój chropowaty podbródek. – Tutejszy majster mówi, że tam w dole ulicy jest hotel z barem. Możecie tam zostać, ale jest tam rzeczywiście drogo – rozległy się jęki. – Kowal pozwala ludziom spać na strychu swojej stodoly, za kilka pensów – to brzmiało lepiej, chociaż Cherod naprawdę nie lubił wyciągać później siana ze swojego ubrania. – Powiedział jeszcze jedno: „Zostawcie w spokoju sylfy, zostawcie w spokoju kobiety, a przynajmniej jeżeli będą niechętne. I do cholery, trzymajcie się z daleka od mężczyzn ubranych w błękit i złoto”. To tyle. Zajmijcie się zwierzętami i wróćcie o świcie.

Mężczyźni posłuchali, rozmawiając o tym, co będą robić, kiedy wyprowadzą wozy z magazynu, idąc za szefem na puste miejsce za magazynem. Ogromny, niedaleki paddock był dobry dla zwierząt. Cherod nie przyłączył się do rozmowy. Zamierzał znaleźć bar, a jeżeli chodzi o miejsce na nocleg, to kobiety mają pokoje, prawda? Zabierze się z którąkolwiek, która weźmie go do domu.

Machając innym, ruszył w dół ulicy, mijając inne magazyny i miejsca gdzie można było kupić, czy naprawić urządzenia gospodarskie. Wszystkie budynki miały taki sam, dziwny wygląd. Co więcej, wszystko wydawało się stać zgodnie z jakimś planem... i nie zajęło mu dużo czasu zorientowanie się, że większość budynków jest nieużywanych. Wydawało się szalone budować budynki, których się nie potrzebuje, ale jeżeli ma się tyle sylfów do pracy, to nic się nie stanie, jak to zrobią.

Nie zajęło mu dużo czasu odnalezienie karczmy, o której wspomniał szef. Pokoje nad karczmą były za drogie, ale drinki duże i tanie. Piwo było zrobione przez wodnego sylfa, o czym powiedział mu dumny barman, co tłumaczyło dziwny smak, który zostawał w ustach. Ale nadal to było dobre piwo, chociaż nienaturalne. Całe to miejsce takie było. Cherod nigdy nie widział tak wielu sylfów, jak wtedy, kiedy przechodził. W samym barze były trzy, wodna sylfka właściciela myła szklanki, kiedy nie mieszała chmielu, słodu i wody w powietrzu. Wyglądała jak jakieś dziwaczne dziecko, poza tym, że dzieci nie były przeźrocyste.

Cherod nie przejmował się nią. Bardziej interesowały go dwie barmanki. Jedna gruba w średnim wieku, a druga młodsza i ładniejsza. Obie nalewały napoje i napelniały gulaszem miski klientów, gawędząc z mężczyznami równie chętnie jak ich obsługując. To znaczyło, że Cherod dostał pierwszy kufel od barmana, a potem obserwował, wskazując gestem, żeby napelnić mu go znów.

- Może powinieneś trochę zwolnić – zaśmiał się barman. – Pond<sup>1</sup> daje do swojego piwa więcej energii niż inni. Jest mocniejsze niż wygląda.

- Po prostu polej – warknął Cherod. W rezultacie wypił połowę pojedynczym łykiem i wskazał w kierunku młodszej kobiety. – Jest dostępna?

Barman zamrugał.

- Cherry<sup>2</sup>? Nicee, nie umawia się z klientami.

Dlaczego nie, z takim imieniem? Cherod uśmiechnął się i osuszył swoje piwo, z trzaskiem stawiając kufel przed barmanem, który wzruszył ramionami i napelnij go znów, ale z ostrzeżeniem.

- Zostaw ją w spokoju. Szybko zawoła po pomoc.

To brzmiało nawet bardziej interesująco. Po tym, jak Thul prawie złamał mu rękę, Cherod nie brał udziału w żadnej bójce z pozostałymi woźnicami, a bójka to było jego ulubione hobby, następne po picciu i dziwkach.

---

<sup>1</sup> Pond - Staw

<sup>2</sup> Cherry znaczy wiśnia ☺

- Wezmę to pod uwagę – powiedział barmanowi i zeskoczył ze stolka zataczając się przez chwile. – Cholera, *jest* mocne.

- Mówilem ci.

Cherod zignorował go, idąc prosto w stronę Cherry. Cofnęła się w jego stronę, rozmawiając z jakimś głupim klientem, który przyprowadził żonę do baru i zamówił kolację. Barman domyślając się, co Cherod zamierza zrobić, krzyknął za nim, żeby przestał, ale Cherod objął ręką kelnerkę, jego dłoń wylądowała na jej piersi.

- Hej, dziewczyno – wybelkotał - Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie możemy się rozebrać.

Cherry krzyknęła, starając się go odepchnąć, ale Cherod tylko zaśmiał się, zaciskając chwyt i biorąc następny łyk ze swojego kufła. Barman krzyczał na niego, żeby puścił, ale był chudy, a wszyscy inni patrzyli w szoku. Jakby nikt z nich nigdy nie chwycił dziwki, żeby zabawić się.

- Chcesz coś spróbować? – szydził z barmana, jego uścisk zacisnął się na piersiach dziewczyny, aż zaczęła płakać. – Przestań jęczeć suko – warknął na nią. – Wiesz, że tego chcesz.

Drzwi otwarły się trzaskiem. Nagle, wszyscy gości zbledli, zeskoczyli z krzeseł cofając się. Barman cofnął się razem z nimi, a jego wodny sylf wydał z siebie dziwaczny pisk i zniknął, zostawiając na wpół zrobione piwo, które z pluskiem spadło na podłogę. Inne sylfy, które kręciły się dookoła, również zniknęły, lub stanęły pomiędzy swoimi mistrzami a drzwiami.

Cherod obrócił się zaskoczony, Cherry zatoczyła się dookoła niego. Zobaczyła, kto tam był i zaczęła płakać, wyciągając rękę.

Mężczyzna w niebieskim i złotym, ten który był w magazynie, wszedł do baru, jego twarz była tak pozbawiona uczuć, że Cherod zawahał się, zanim zaczął się śmiać. Patrząc na niego widział, że nowoprzybyły był mniejszy od niego o jakieś sto funtów lub nawet więcej. Niebiesko odziany nie miał przy sobie broni.

- Chyba żartujesz – zaśmiał się.



Wszedł drugi mężczyzna, a potem trzeci i czwarty. W końcu weszło siedmiu mężczyzn w niebiesko- złotym ubraniu, żaden z nich nie odezwał się, kiedy rozeszli się wypełniając bar. Rozsunęli się.

To nie była taka przewaga, jaką lubił Cherod, ale z doświadczenia wiedział, że najgorsze co może go czekać, to cios w głowę i noc w więzieniu. Już widział, jak jego praca odjeżdża jutro bez niego. Thul nie będzie znów na niego czekał.

- Co jest do cholery z wami? – wrzasnął. – Wszystko o jedną kurewską kelnerkę? – gdzieś z tyłu za nim, ktoś jęknął.

Mężczyźni wydawali się na to nie zważać.

- Rój w niebezpieczeństwie - powiedział jeden z nich cichym głosem.

- Tak – odpowiedziało kilku z nich.

- Królowa dała pozwolenie.

- O taaak.

Wszyscy syknęli, dźwięk rozlegał się nadal, kiedy już wypuścili powietrze i Cherod patrzył na nich, nagle zdenerwowany.

- Słuchajcie – odezwał się. – Puszczam ją. Widzicie? Wychodzę.

Uwolnił Cherry, a ona natychmiast podbiegła do mężczyzn, nadal płacząc. Połowa z nich zebrała się dookoła niej, przytulając ją i czuje do niej gruchając. Pozostali zostali na swoich miejscach.

- Słuchajcie – powiedział Cherod. – Ja...

Nie zdążył dokończyć. Podmuch emocji uderzył w niego, równocześnie od wszystkich, skupił się na nim niespiesznie, a on poczuł, że jego pęcherz opróżnia się, a kufel upada na podłogę. Oczy rozszerzyły się i krzyknął z przerażenia. Nienawiść, nie pochodząca od niego wypełniła go, zniszczyła jego odwagę, zostawiając go trzęsącego i bezradnego. Wydawało mu się, że serce pęknie mu w piersi. Ale nie trwało to długo. Uwaga mężczyzn zmniejszyła się i coś innego podeszło do niego, coś niewidzialnego i mającego określony zamiar.

Prawa ręka Cheroda została pociągnięta na plecy. To była ta, którą chwycił dziewczynę, nie mając zamiaru zrobić nic złego, poza niewinną rozrywką, chociaż gdyby źle czuła się rano, no cóż. Wziął wdech żeby znów krzyknąć, a jego lewa część też zaczęła palić. Krzyknął więc, jego głos był tak wysoki, że nie mógł go rozpoznać, a potem niebiesko ubrane bitewne sylfy, przed którymi był ostrzegany, zabrały jego głowę.

## Rozdział 1

Ceremonia Sprowadzenia, jak nazywano ją w królestwie Yed, odbywała się w budynku z wielką kopułą, z miejscami dla widzów wznoszącymi się w rzędach. Zazwyczaj była tutaj tylko garstka obserwatorów. Tym razem chodziło jednak o wezwanie bitewnika i każdy z widzów chciał zobaczyć śmierć kobiety. Wszystkie miejsca były zapelnione. Innym powodem ich zainteresowania był fakt, że ofiara była zmysłową blondynką o łagodnych oczach, jej spojrzenie było oglupiałe i bezrozumne, nawet kiedy została wniesiona i przywiązana do zakrwawionego ołtarza. Tłum zamruczał z uznaniem na widok jej nagości.

Mężczyzna, który został wybrany, żeby zawiązać więź z bitewnikiem, stał u stóp ołtarza i machał z uśmiechem do tłumu. Był ubrany w najpiękniejsze ubranie oraz, pomimo gorąca, w czerwoną, jedwabną pelerynę. Na stopach miał sandały, a na czole cienką, złotą koronę. Nie wyglądał na bardziej bystrego niż ofiara.

Leon stał w cieniu, w przejściu dla służby. Ubrany w pospolitą, lnianą koszulę, miał przykryty wózek i czekał z pozostałymi obsługującymi. Kiedy ceremonia zakończy się, dla jej uczczenia będą podawane sery i wino, chociaż tylko dla uczestników. Widownia będzie musiała zadowolić się jedynie obserwowaniem usankcjonowanego przez rząd morderstwa.

Morderstwo. Właśnie tym to było i był to ten rodzaj morderstwa, który kiedyś Leon sam popełnił, a czego będzie żałował do końca życia. Było sześć rodzajów sylfów: wodne, ziemne, powietrzne, ogniowe, uzdrowicielskie i bitewne. Były wabione przez wrota z ich własnego świata przez proste przedmioty, na które reagowało ich usposobienie. Stawały się połączone z mężczyznami, którzy je wezwali, zmuszone na zawsze do wypełniania rozkazów swoich mistrzów i karmienia się ich energią. Wiele z nich było przekazywanych w rodzinach przez pokolenia. Sylfy właściwie lubiły ten układ, były istotami spragnionymi uwagi. Otrzymywały tę uwagę od swoich mistrzów w zamian za swoje umiejętności.

Bitewnicy byli inni. To, co wabiło ich rodzaj, to kobiety, ale kiedy przechodzili przez wrota, kobiety były zabijane, zostawiając bitewnika związanego wbrew swojej woli z mordercą, który nadawał mu imię i zmuszał go do życia w niewoli, z której nie mógł uciec, dopóki jego mistrz nie umarł. Właśnie tak kiedyś zrobił Leon, posłuchał rozkazu, żeby zabić dziewczynę, zyskując bitewnika. Po jakimś czasie nauczył się, jak złe to było i co naprawdę zrobił istocie, którą ze sobą związał. Nauczył się, czego bitewnicy naprawdę pragną, a co dostają w Dolinie Sylfów- chętną kobietę, która jest równocześnie ich mistrzynią i kochanką.

W pozostałej części świata sylfy bitewne były rzadkimi istotami, trudnymi do kontrolowania i wzbudzającymi przerażenie w ludności z powodu przemocy i niekończącej się nienawiści. W dolinie, mając to, czego naprawdę pragnęły, wcale nie nienawidziły. Kiedy Leon wyjeżdżał na tą misję, było ich tam prawie pięćdziesiąt, co przerażało każde inne królestwo. Bitewnicy byli niesamowicie niszczycielscy, pojedynczy sylf był zdolny zetrzeć w proch całą armię. Nie wiedząc, jak robili to w Dolinie, ich sąsiedzi powiększali własną liczbę bitewników w tradycyjny, krwawy sposób. Plotki, że właśnie to stanie się w Yed spowodowały, że Leon był teraz tutaj.

Rozproszeni dookoła kręgu przywołania kapłani monotonnie śpiewali i poruszali się, tworząc energię potrzebną do otwarcia wrót. Krąg prawie zaczął lśnić, a księżę niezbyt wysokiego rodu, który najpewniej nigdy nie zostałby zaakceptowany przez bitewnika, gdyby nie to, że to nie była Dolina, uniósł ramiona w triumfie. Prawie tańczył na podium, uśmiechając się do tłumu w sposób, w jaki uśmiechają się wszyscy słabi ludzie, popisujący się w różnorodnych barach i na placach targowych, że był następnym wybrańcem, jakby uważał, że jest tu jeszcze ktoś, kto tego nie wie.

- Nie przechodź – mamrotał Leon, obserwując spod zmarszczonych brwi. Nie mógł tam podejść. Pojedynczy służący zostałby natychmiast zauważony na lśniącej posadzce, a byli tu również strażnicy, ustawieni w rzędzie przy ścianie.

Ponad okręgiem, na scenie, pojawił się w powietrzu drugi krąg, portal lśniący różnymi kolorami, na widok których przez tłum przeszło westchnienie. Leżąca na ołtarzu dziewczyna po prostu zamrugła, a Leon zastanawiał się, czy nie została odurzona narkotykami. Ledwie reagowała na to wszystko, kiedy księżę pochylił się ponad nią i w oczekiwaniu wznosił wysoko nóż.

Monotonne śpiewy stały się głośniejsze, wrota zmieniały kolory od czerwieni do zieleni, niebieskiego i czarnego. W końcu zmieniły się na bezbarwne, a tłum zagrział z aprobatą. Księżę patrzył się w górę, jakby poświęcał się.

Wszyscy wstrzymali oddech, po drugiej stronie był inny świat i coś patrzyło przez bramę. Sylf powietrzny byłby przyciągany przez muzykę, sylf ogniowy przez sztukę, ziemny sylf przez coś w trakcie budowy, wodny sylf przez coś rosnącego. Uzdrowicielski, najrzadszy sylf ze wszystkich, przyciągany był przez kogoś naprawdę potrzebującego leczenia. Ale bitewny? Przyciągany był tylko przez obietnicę miłości, obietnicę zdradzaną w pierwszej chwili przez morderstwo. Leon zapłonął od starego wstydu.

To było czyste szczęście, jeśli to co zaoferowano, przyciągało sylfa będącego po drugiej stronie wrót. Tylko inny sylf mógł powiedzieć, co tam się czaiło, a poza wzywającymi w Dolinie wszyscy pozostali działali na ślepo. Leon nie miał pojęcia, czy właściwy rodzaj sylfa patrzył przez wrota, czy podarek z kobiety zostanie odrzucony, czy też ponownie spróbują złożyć ją w ofierze innego dnia. Mogło zająć miesiące, czy nawet lata, żeby znaleźć bitewnika, bez znaczenia co obiecywali kapłani. Ale Leon nie śmiał przegapić szansy. Dziewczyna nie była jego misją, kiedy po raz pierwszy przybył do Yed, ale teraz tak. Nawet jeżeli próba nie powiedzie się, musiał ją wydostać.

Księżę krzyczał w triumfie, machając ręką ponad głową, a tłum znów zagrział. Coś przechodziło przez wrota, a Leon odetchnął głęboko i wiedział już, co to jest, bo żaden inny rodzaj sylfa nie promieniował taką aurą. Ogromny i bezcielesny bitewnik wyglądał jak czarna chmura przetykana błyskawicami, oczy lśniły mu czerwienią, czarne skrzydła utworzone z dymu sięgały aż do drugiej strony. Przeszedł przez wrota kwiląc z pożądania do dziewczyny, wijącej się, wpatrzony w niego. Mruczając sięgnął po nią.

- Teraz! – zawołał główny kapłan. – Zrób to teraz! Zabij ją i nazwij go!

To tak się odbywało, tak zawsze było. Tym razem, księżę opuścił nóż i odwrócił się. Spojrzał na kapłanów, idiotyczny uśmiech szczęścia zniknął z jego twarzy i zaczęła ona się zmieniać.

- Nie rób tego – powiedział bezgłośnie Leon, wiedząc, że jego partner i tak go słyszy.

Jego słowa przeszły niezauważone, co go nie zdziwiło. Od twarzy do stóp księżę zmienił się, rósł wyższy, jego włosy przeszły w blond, jego oczy zjaśniały do szarości. Złość wykręciła jego wyraz twarzy i nienawiść zamigotała, wstręt bitewnika w pełnej krasie. Kapłani gapili się z otwartymi ustami w chwilowym szoku, a tłum krzyczał. Potem mężczyzna rozpostarł szeroko oba ramiona.

Ściana niszczycielskiej energii uderzyła naprzód, trafiając w mur kapłanów z siłą pełną złości, obracając ich w kawaly drżącego mięsa, przechodząc przez nich i uderzając w strażników stojących rzędem pod ścianą, chociaż wiele utraciła już ze swojej mocy. Na trybunach tłum krzyczał z przerażenia, ratując się nawzajem w pędzie podczas ucieczki. Chaos ogarnął wszystko, kiedy przy ołtarzu nowy bitewnik gruchał i starał się zorientować, jak wspiąć się by sięgnąć do ofiary.

Leon szarpnął serwetą ze swojego wózka, żeby wyjąć krótki miecz, który zastąpił sery, jakie powinien tam mieć. Służący, obok których stał, właśnie zaczęli uciekać, co było dobre. Nie mógł pozwolić, żeby którykolwiek z nich powstrzymał go od pobiegnięcia do sali i ruszenia w stronę ołtarza.

Był w fantastycznej formie, ale miał jednak czterdzieści siedem lat i nie poradziłby sobie ze wszystkimi strażnikami, których nie zabił jego bitewnik. Kilku z nich rozglądało się, jakby byli tylko ogłuszeni, a więcej strażników mogło nadejść wezwanych przez uciekających widzów. Przynajmniej Rilowi udało się zabić wszystkich kapłanów. Bez nich nie zostaną zwabione żadne sylfy, co oznaczało, że królestwo Yed nie wzbogaci się już o następnych bitewników. To nie było właściwie ich celem, ale Leon zawsze chętnie wykorzystywał sprzyjające okazje. Solie nie chciała, żeby byli w dalszym ciągu przerażający.

Dobiegł do sceny i ołtarza. Na nim nowy bitewnik starał się przegryźć sznury, którymi była związana dziewczyna, bez zranienia jej, a Leon przez chwilę zastanawiał się, jak głupia była ta istota. Najwidoczniej nie przyszło mu do głowy, żeby zmienić formę na ludzką. Nadal był dymem i błyskawicami, co uniemożliwiałoby fizyczny kontakt.

Aż do teraz Leon ignorował go. Jego własny bitewnik leżał rozwalony na kamieniach u stóp ołtarza z jedną ręką przesuwającą się po podłodze.

- Ril – wydyszał Leon, klękając obok niego – Wstawaj.

Ril tylko jęknął. Był bitewnikiem, ale został ciężko ranny w walce sześć lat wcześniej, przetrwał tylko dzięki staraniom uzdrowicielskiego sylfa o imieniu Luck. W rezultacie tego, jego zdolności do używania swojej własnej mocy kilkakrotnie zmalały. Jego uznanie tych ograniczeń było jeszcze bardziej szczątkowe. Leon nigdy nie zabrałby go, mimo, że bitewnik potrzebował pozostawać blisko niego, żeby karmić się jego energią, ale Ril nie dał mu wyboru i przez wzgląd

na jego dumę Leon zgodził się. Poza tym Ril był jedynym bitewnym sylfem w dolinie, który miał za mistrza mężczyznę, poza bitewnikiem królowej, Heyou, który również miał męskiego mistrza, chociaż ten był nawet jeszcze starszy niż Leon i w żaden sposób nie był zainteresowany intrygami. Sprowadzić nieszalonego bitewnika, oznaczało powiązać go z kobietą, a większość z nich było wdowami w średnim wieku, żadna z nich nie była przygotowana na niebezpieczeństwa związane z taką misją.

Ale Ril również nie był. Leon wydyszał jego imię, szarpiąc go za ramię.

- Wstawaj, obudź się.

Chciał wepchnąć w bitewnika trochę energii, ale nie wiedział jak. Przeważnie nie czuł, kiedy Ril pobierał od niego energię, chyba że wziął za dużo, ale w ciągu ostatnich sześciu lat sylf nie potrzebował jej tak wiele.

Ponad nimi na ołtarzu nowy bitewnik krzyczał z narastającego rozczarowania i odrobiny desperacji. Ril zadrżał, jęknął i otworzył oczy. Uśmiech Leona zmienił się w oszołomienie, a Ril odepchnął jego ręce.

- Wydaje mi się, że to mnie trochę za dużo kosztowało – przyznał.

Leon nie odpowiedział. Zmiana kształtu zabrała prawie wszystko, co Ril miał i była straszliwie bolesna. Leon nie pozwoliłby mu więcej tego zrobić, gdyby nie to, że przysiągł, że nigdy nie weźmie pod rozkazy innego bitewnika, a potrzebowali, żeby Ril stał się księciem i zbliżył się do kapłanów i dziewczyny. Jako jedyni w Dolinie z doświadczeniem w takiej robocie przybyli, żeby zebrać informacje w Yed i określić zagrożenie ze strony królestwa. Zrobili już to samo w Para Dubh, a nawet w ich wcześniejszym domu, w Eferem, gdzie Leon musiał być bardzo ostrożny przy swoim szpiegowskim zadaniu, żeby nikt go nie rozpoznał. To pozostawiało większość pracy Rilowi. Z tego powodu spędzili więcej czasu z daleka od domu, ale było to konieczne. Dolina Sylfów była nowym królestwem bez prawdziwych sojuszników, więc potrzebowali wszystkich informacji, które mogli zdobyć. Bitewne sylfy były ogromnym wsparciem, ale były sposoby, żeby sparaliżować królestwo omijając tę przeszkodę. Ril właśnie zrobił poniekąd coś podobnego.

Teraz ich misja się zmieniła. Ocalili tą dziewczynę, a ponieważ miała bitewnika, ona i jej sylf musieli zostać zabrani do królowej.

Leon ostrożnie podciągnął Rila na nogi. Odwrócił się do ołtarza uważając, żeby nie wykonywać gwałtownych ruchów. Bitewnicy z założenia nie lubili mężczyzn, a jeżeli ten jeden poczułby się zagrożony... chociaż właściwie nie poczuł się zagrożony, kiedy Ril przeprowadzał masowe morderstwo o kilka stóp od niego.

Dziewczyna nadal wpatrywała się w bitewnika, jej pierś unosiła się. Była przepiękna, ale wyraz jej oczu zdradzał, że była odurzona narkotykami, lub nie za bystra. Zauroczonego sylfa nadal próbował przegryźć się przez sznury, ale był jednak jej bitewnikiem. Mógł zmienić postać w cokolwiek zechciałby, ale wszystko co zrobił, to próba stania się bardziej solidną wersją

siebie. To sprawiło, że miał prawdziwe zęby i usta, ale nie mógł ich użyć efektywnie, kiedy unosił się przy krańcu ołtarza nie mając nóg.

Powoli, Leon wyciągnął rękę i położył ją na kneblu dziewczyny.

- Nazwij go – wyszeptał. To dopełniloby więzi i zrobiło z dziewczyny mistrza bitewnika. Zamrugła patrząc na niego i wypluła knebel.

- Co? – zapytała. (Co? – po angielsku What?)

- Wat – zamruczał bitewnik.

- No, po prostu świetnie – gderał Ril. – A ja myślałem, że Heyou to głupie imię.

- Domyślam się, że twój gatunek również ma głupków – skomentował Leon. Ril wzruszył ramionami, obserwując kilku strażników, którzy poruszyli się obok ściany.

- Kim jesteście? – zaskąbała dziewczyna.

- Wat! – powiedział Wat.

- Nazywam się Leon Petrule – powiedział jej Leon, przecinając linę i uwalniając jej nadgarstki i kostki. Chwycił pelerynę Rila, podał jej, więc mogła się okryć. – To jest Ril. Musimy się stąd wydostać.

- Dlaczego? – zapytała. Jej wargi drżały, a w oczach zalśniły łzy.

Ril spojrzał na nią przez ramię.

- Chcieli wbić ci w serce nóż i zmienić go w niewolnika. – Wskazał podbródkiem w stronę Wata. – A teraz poproś go, żeby zmienił swój wygląd na ludzki i oboje chodźcie z nami.

- Zabierzemy was gdzieś, gdzie jest bezpiecznie – dodał Leon. – Możecie nam zaufać.

Dziewczyna wyglądała na trochę niepewną, tak jak Wat.

- Możesz zrobić tak, jak mówią?

Wat pomyślał.

- Tak – powiedział powoli.

Jej oczy zabłyszczały.

- Och! Czy możesz wyglądać jak mój pierwszy chłopak?

Ril przewrócił oczami, a Leon powstrzymał chęć trzaśnięcia ją dłonią w twarz.

- Nie może wyglądać jak ktoś, kogo nie widział. Po prostu powiedz mu, żeby przybrał postać człowieka.

- Och, okay. Przybierz postać człowieka.

Wat zamrugał i zadrżał, zagęszczając się w przeciętnie wyglądającego człowieka, zupełnie takiego jak jeden z mężczyzn leżących obok. Podobnie jak dziewczyna był całkowicie nagi.

- Wow – westchnęła dziewczyna. – Jak masz na imię?

- Wat.

- Co? (What?)

- Tak.

- Ale jak masz na imię?

- Wat!

- He?

- Nie mamy na to czasu! – wrzasnął Leon. Ogłuszeni strażnicy zaczęli się przepychać między sobą. Ril nie miał więcej mocy, której mógłby użyć. Kiedyś byłby w stanie zniszczyć całe pomieszczenie, ale teraz niewiele pozostało mu na drugi strzał, a Leon nie śmiał prosić Wata o cokolwiek. Nie, jeżeli wymagałoby to myślenia.

- Ciagnie swój do swego, jak mi się wydaje – wymamrotał, pomagając dziewczynie zejść, zanim chwycił ją za rękę i przeciągnął przez salę. Wat posłusznie szedł za nimi.

- I co to mówi o tobie i o mnie? – gderał Ril, podążając za nimi jako straż tylna.

- Chcesz czegoś? – zapytał Wat.

Przeszli przez przejście dla służby, w którym wcześniej czekał Leon, dziewczyna jęczała przestraszona całą drogę. Leon uważał, żeby jej nie puścić, lub nie zostawić Rila za daleko z tyłu. Nie był całkowicie pewien, czy ludzka broń może zabić bitewnika i nie chciał się o tym przekonywać. Wat trzymał się blisko dziewczyny, prawie wpadając na nią i Leon zdusił pragnienie, żeby powiedzieć mu by się odsunął. Nie wyglądało na to, że powrót do domu będzie łatwą wycieczką. Przynajmniej bitewnik nie wydawał się przerażający. Leon spodziewał się, że był zbyt głupi na to, a to właściwie było dobre dla nich, a przynajmniej na teraz.

Grupą pobiegli w dół korytarza pomieszczeń kuchennych, Ril zamknął drzwi za nimi. Dalszy korytarz prowadził do spiżarni i zimnych pomieszczeń wypełnionych lodem, wydawał się wyludniony. Leon był jednak całkowicie przekonany, że było tam nadal kilkoro ukrywających się służących, ale tak długo, jak pozostawali w ukryciu, nie dbał o to. Chociaż na wszelki wypadek trzymał swój miecz w gotowości. Gdyby nie był stanowczy, nie mógłby być strażnikiem. Mieli bardzo mało czasu do zaplanowania tej misji. Największą ich przewagą było to, że nikt się tego nie spodziewał. W wyniku całej akcji Leon miał kilka pomysłów na ulepszenie ceremonii w Dolinie. Pozostawili kapłanów samych sobie, nikt ich nie strzegł.



Ale teraz skupił się na ucieczce. Nie był ekspertem od rozmieszczenia budynku, ale wiedział, że korytarz musi wyprowadzić ich na zewnątrz budynku. Zrobił gwałtowny wdech, kiedy drzwi, które otworzył podczas ceremonii, okazały się zamknięte, teraz kiedy próbowali przez nie uciec. Leon zaklął. Dziewczyna tylko wpatrywała się głupio, kiedy Wat zaczął ocierać się o nią. Niepokojące było to, że nie wydawała się wiele myśleć.

Ril zrobił krok w przód.

- Ruszaj – zawarczał popychając swojego mistrza w plecy.

- Nie – zaczął Leon, ale Ril wycełował dłonią w drzwi. Leon poczuł falę uderzeniową i ciężkie drzwi wyleciały z zawiasów, uderzając głośno o podłogę. Ledwie zdołał chwycić Rila, kiedy ten upadał. Przeklinając, Leon podał dziewczynie swój miecz.

- Przytrzymaj – powiedział jej. – I na litość wszystkich bogów, nie możecie teraz zająć się seksem!

Zaczerwieniła się ślicznie i odsunęła od Wata, który wyglądał na głęboko rozczarowanego. Leon zupełnie się tym nie przejął. Chwycił Rila, pochylił się i zarzucił sobie sylfa na ramiona. Nieprzytomny bitewnik nie był lekki.

Modląc się, żeby nie było na zewnątrz żadnych strażników, w przeciwnym razie on i Ril zginą, Wat może ochroniłby dziewczynę, ale na pewno nikogo innego, Leon wystawił głowę na zewnątrz. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Rzucając szybkie spojrzenie przeszedł przez puste, zasypane odpadkami podwórko. Od tego miejsca Leon planował podążyć jedną z alejek, które spenetrował, kiedy Ril był zajęty udawaniem księcia. Ich rzeczy były tylko kilka budynków dalej, ukryte pod stosem starych rupieci za sklepem. Mając nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze, Leon przygotował nawet dodatkowe, nadające się do podróży ubrania dla wszystkich. Ich konie były w stajni, kilka budynków dalej. Znow, tylko na wszelki wypadek, Leon przygotował cztery.

Ril ocknął się, kiedy strumień wody uderzył go w twarz, a Leon zostawił go, żeby przebrał się w podróżne ubranie. Podeszedł do dziewczyny i Wata.

- Jak masz na imię? – zapytał blondynkę, przytrzymując pelerynę Rila, żeby zapewnić jej prywatność, kiedy przebierała się. Za nimi Wat szarpał się ze swoimi spodniami.

- Gabralina – powiedziała - czy mogę już iść do domu?

- Obawiam się, że nie. Nie z nim, a on cię nie opuści. Mamy dla was miejsce. Będziecie tam bezpieczni.

Spojrzała na niego oczami, które były całkowicie niewinne, słodkie i zupełnie pozbawione jakiegokolwiek myśli.

- Czy tam jest pięknie? – zapytała.

- Oczywiście – obiecał. To w końcu nie było kłamstwem. – To będzie długa podróż, prawie miesiąc jazdy konnej.

- Nie mamy wyboru, tutaj będziemy ścigani – dodał, kiedy zobaczył, że wygląda na oszołomioną. Rzucił okiem na Wata, który wpakował obie nogi do jednej nogawki spodni i wywrócił się. Ril po prostu patrzył z uniesionymi brwiami. – To bardzo ważne, Gabralina. Musisz mnie wysłuchać.

Skinęła głową.

- Wiesz kim jest Wat?

- Nie.

- Jest bitewnym sylfem, takim *dobrym* – dodał, widząc jej przestraszony wzrok. - Kocha cię i bardzo chciałby kochać się z tobą fizycznie – jego spojrzenie stwardniało. – Nie możesz mu na to pozwolić. Jeżeli tak zrobisz, stanie się coś bardzo, bardzo przerażającego.

- Co się stanie? – wyszeptała blondynka.

- Coś naprawdę przerażającego – odpowiedział starając się coś wymyślić.

Każdy instykt Wata będzie mówił mu, żeby się z nią połączyć. Jeżeli to zrobią, zanim zostanie zabrany do królowej i dołączony do jej roju, to naprawdę będzie czymś strasznym. Największym sekretem Doliny było to, że każdy bitewnik bez królowej, który zostanie połączony z mistrzynią, może z niej zrobić swoją królową. Zdolny jest wyczuć i kontrolować każdego sylfa, który będzie blisko, w trakcie transmisji ich wzoru energii. To tak Solie stała się królową, ale ona była dobrym władcą. Oddanie władzy w ręce tej dwójki byłoby koszmarem.

- Kiedy będziemy podróżować, chcę, żebyście ty i Wat, byli jak brat i siostra. Nie pozwól mu dotknąć się, dobrze?

Gabralina skrzywiła się i wyszła zza peleryny, odziana w prosty strój do konnej jazdy uszyty z bawełny i brązowe buty. Jej włosy lśniły jak złoto, a krzywizny jej ciała były widoczne nawet przez luźny materiał. Kobieta była wspaniała, a to sprawiło, że Leon zastanowił się, dlaczego został wybrana jako ofiara. Wyglądała bardziej, jakby była metresą jakiegoś szlachcica.

Wydawała się nie zauważać oceniającego spojrzenia Leona, zamiast tego spojrzała w dół na Wata, który leżał na plecach, starając się naciągnąć spodnie. Ril wyglądał, jakby chciał zamordować drugiego sylfa.

- A co stanie się, po tym, kiedy ja i Wat będziemy mieć seks? – nalegała.

## Rozdział 2

Para Dubh było królestwem z ziemiami dziesięć razy większymi od Doliny Sylfów, obejmującymi tuziny osad i wiosek rozproszonych po górach, które zajmowały większość obszaru. Ośrodkiem jego najpotężniejszego i największego architektonicznego osiągnięcia, czy jakkolwiek by to nazwać, było ogromne miasto o tej samej nazwie, zbudowane na wzgórzach opadających do zatoki, przechodzącej w ogromny ocean.

Chociaż miała wspomnienia pochodzące z innego miasta, w którym mieszkała jako dziecko, Lizzy Petrule nigdy nie miała na tyle swobody, żeby po prostu pozwiedzać, a miasto Para Dubh było duże większe, niż stolica Eferem kiedykolwiek miała nadzieję się stać. Lizzy była pewna, że i tak byłaby pod wrażeniem Eferem, gdyby pozwolono jej po nim powędrować, ale jej matka zawsze była w pobliżu, lub jedna z jej trzech siostr. Jako od najstarszej, od Lizzy zawsze spodziewano się pomocy, nawet jeśli rodzina miała służbę. Nie zastanawiała się nad tym przez cały czas, ale zawsze pragnęła swobody, żeby chociaż raz zrobić to, co chciała.

A teraz, po tygodniach, które zajęło jej ubłaganie matki, w końcu była prawie sama, bez żadnych rodziców w pobliżu. Chichocząc, ona i jej przyjaciółka Loren pobiegły w dół chodnika, który prowadził do doków. Wodna sylfka Loren, Shore<sup>3</sup>, biegła obok niej, trzymając swoją mistrzynię za rękę. Shore była dobra w przybieraniu kształtów ludzkich i wyglądała jak całkiem rzeczywista mała dziewczynka, trochę tylko bardziej wodnista niż prawdziwa. Trzy budynki dalej pozostała część grupy, z którą przybyły do miasta, nadal rozładowywała wozy.

- Będą na nas strasznie źli – zachichotała Loren. – Widziałas twarz Datona, kiedy odbiegłyśmy?

- Był wściekły! – zgodziła się Lizzy. Była troszkę zdenerwowana, co powiedzą ich tymczasowi opiekunowie, kiedy powrócą i naprawdę nie chciała, żeby dowiedziała się o tym jej matka, nie po tych wszystkich obietnicach dobrego zachowania, ale była za bardzo oszołomiona, żeby o to dbać. Miała osiemnaście lat i według prawa w Dolinie Sylfów była równa każdemu mężczyźnie, chociaż nie tutaj. A nawet jeżeli Daton opowie jej rodzicom o jej postępkach, matka co najwyżej na nią nakrzyczy. Jej ojciec wyjechał miesiąc temu razem z Rilem. Lizzy nadal była o to zła. Błagała, żeby wzięli ją ze sobą, ale Leon i jego sylf nie byli tak łatwi do ubłagania jak jej matka i odmówili. Klóciła się z nimi, aż poczerwieniała na twarzy, ale ani jej ojciec, ani Ril nie zmienili decyzji. Więc została. Nadal im tego nie wybaczyła.

Teraz, nareszcie, miała swoją przygodę. Z Loren przy boku, Lizzy biegła przez obce miasto, podziwiając widoki i pochyłe drogi. Para Dubh zostało zbudowane na wzgórzach rękami *ludzkimi*, inaczej niż wszystko, co powstawało w Dolinie za sprawą sylfów. Tutaj drogi zygzakiem schodziły do oceanu.

---

<sup>3</sup> Shore (ang.) - Wybrzeże

Żadna z nich nie widziała wcześniej oceanu, a po reakcji Shore, obie dziewczęta natychmiast wybrały doki jako pierwszy cel. Mała wodna sylfka głupiała, kiedy widziała całą tę słoną wodę, więc zadecydowały, że to ich obowiązek zabrać ją, żeby mogła przyjrzeć się bliżej. Inni mogli rozładować wóz. Był to tylko pojedynczy ładunek rudy metali, przesłany jako podarunek dla pary rządzącej Para Dubh, jako część umowy handlowej i pewnego rodzaju test dla przewoźników. Poza Datonem, każdy z nich miał poniżej dwudziestki.

Loren była jedyną, która miała sylfa. Zazwyczaj odpowiedzialni dorośli byli jedynymi, którym pozwolono mieć sylfa, ale Loren została wybrana przez jej wodnego sylfa po śmierci jego poprzedniego mistrza. Loren miała wtedy czternaście lat, a teraz prawie dwadzieścia, była starsza o dwa lata od Lizzy, ale dziewczyna była tak niedojrzała, że Lizzy wątpiła, żeby wybrano ją na mistrzynię sylfa, gdyby nie to, że decyzję pozostawiono Shore.

Przed nimi droga skręcała zygzakiem, w stronę widocznego oceanu, otoczona przez sięgający pasa murek z ciosanych kamieni. Przez chwilę dwie dziewczyny przechyliły się przez niego, spoglądając na przepiękne stare miasto, na dachy domów widoczne w otaczających je ogrodach i na przestrzenie między budynkami oddzielone murkami, ozdobione pomnikami i pasami parków. Nigdy nie widziały czegoś takiego i zatrzymały się, żeby odetchnąć, pewne, że oddaliły się od Datona na tyle, że ich nie zawoła.

- Podoba mi się tutaj – wydyszała Loren, odwracając twarz w stronę słonego powiewu, jaki otoczył je na tej wysokości. Przyniósł ze sobą zapach kwiatów, ale też soli i ryb. Obok niej Shore odwróciła się w tą samą stronę. Nic nie mówiła, nic co Lizzy mogłaby usłyszeć, ale Loren uśmiechnęła się spoglądając w dół na nią.

- Ruszamy za minutkę. Nigdzie się nie spieszymy

- Chciałabym ją słyszeć – powiedziała Lizzy.

- Musiałabyś być jej mistrzynią – odpowiedziała Loren z zadowoleniem, którego Lizzy zawsze nienawidziła. Loren uważała się za lepszą od innych dziewcząt, ponieważ miała sylfa. To sprawiło, że Lizzy miała ochotę powiedzieć jej, że bitewnik jej ojca, Ril powiedział jej, że ją kocha i że jest jego królową. Mówił to wiele razy.

Ale to nic by nie pomogło. „Solie jest królową” zadrwiłaby Loren, ale choć bitewnicy byli znani ze swoich umiejętności ograniczających się do walki i seksu, Ril taki nie był. W Dolinie kpiono, chociaż tylko wtedy, kiedy jej ojciec nie mógł słyszeć, że Ril ze względu na swoje rany został zamieniony w eunucha. Z całą pewnością, od kiedy był ranny, nie zaglądał do niej, pomyślała Lizzy gorzko. Za wyjątkiem jednego razu.

- Powinniśmy iść – zamiast tego powiedziała Lizzy przyjaciółce. – Wygląda, jakby droga się kończyła.

Loren zrobiła minę, ale obie wiele spacerowały. Do szkoły i z powrotem, na rynek i z powrotem... Dolina Sylfów miała więcej sylfów niż gdziekolwiek na świecie, ale one nie były niewolnikami. Ludzie musieli sami nosić swoje ciężary, a obie dziewczyny przeniosły więcej kukurydzy i owoców, i zasadziły więcej nasion niż im się podobało. Zajmowały się ogródkami

rodzinnymi, kurczakami i końmi. Ojciec Lizzy powiedział jej, że to dla jej dobra. Nie, żeby kiedykolwiek dołączył do niej, chociaż czasami widziała jak pomaga w cięższych pracach.

Oczywiście tego roku on i Ril przegapili całe sadzenie, a sama Lizzy wykpiła się po części, dzięki tej właśnie wyprawie.

Obie dziewczyny pobiegły po schodzącej w dół ulicy, Shore trzymała się blisko nich, a wszystkie zaśmiewały się, kiedy przebiegły obok ulicznych muzyków i artystów, grup kobiet odzianych na czarno i mężczyzn niosących na ramionach ciężkie kosze. Niczego takiego nie widziały w domu, więc delectowały się widokami, zapachami i dźwiękami. Gdyby któraś z nich miała pieniądze, pewnie spędziłyby czas próbując wszystkiego.

Ale nie miały. Zamiast tego biegły ulicą, podążając za krętą drogą, mijając domy ukryte za wysokimi kamiennymi murami z misternie wykutymi metalowymi bramami, potem sklepy wypełnione nieliczoną ilością przedmiotów, których dziewczęta nawet nie były w stanie wyobrazić. Im bliżej wody, tym budynki stawały się bardziej pospolite, stojące tuż przy sobie. Domy i sklepy zastąpione zostały przez stragany sprzedające ryby. Dziewczęta chwyciły się za ręce, mając nadzieję nie zgubić się w coraz to gęstszym tłumie. Lizzy obejrzała się za siebie, na znaki orientacyjne, żeby zapamiętać drogę, którą tu przybyły. Wracając nią trafią do miejsca, w którym zostawiły pozostałych.

Znalazła wystarczająco łatwy punkt odniesienia, pomnik mężczyzny na stojącym dęba koniu, pod nim lampa uliczna z szklaną bańką na lampę oliwną. Pod lampą biegł wpatrzony w nie i wściekle machający wysoki, kościsty chłopak, niewiele starszy od nich, niedbale obcięte włosy wchodziły mu do oczu.

- Justin? – sapnęła Lizzy.

Loren odwróciła się.

- Co *on* tu robi?

Patrząc na nią, Lizzy zorientowała się z lekkim zdenerwowaniem, że sama nie wie, co czuje, podekscytowanie czy irytację. Justin był synem Cala Portera, jednego z rodowitych mieszkańców Doliny i jak lubił przypominać wszystkim, tym, który pierwszy przywiózł Solie i Heyou do Społeczności. Cal również bardzo natarczywie podchodził do pomysłu, że jego dziesiętnastoletni syn byłby idealnym mężem dla Lizzy Petrule, od kiedy Lizzy w wieku szesnastu lat została przyłapana na pocałunku z nim, podczas dożynkowej zabawy. To był jedyny raz, kiedy ją pocałował, jakkolwiek powinna pewnie podziękować za to mocnemu jablecznikowi, a jej frustracja wynikała z faktu, że nie tylko ona została przez niego pocałowana podczas tej długiej nocy.

Od tej pory zalecał się do niej w pewien niezgrabny, nieśmiały sposób. Ze swojej strony, Lizzy nie była pewna, co o tym sądzić. Lubiała Justina. Był uczciwy i przyjacielski, całkowicie niezdolny kogokolwiek okłamać, ale nigdy nie odgryzł jej się, kiedy lekceważyła go, czy żartowała z niego przy swoich przyjaciółkach, lub kiedy nie przychodziła na randki aranżowane przez ich matki i śmiała się z niego, kiedy wyglądał na strapionego. Po prostu próbował znów,

a w ostatnim roku przestała się śmiać i unikać tych randek. Nawet zastanawiała się, czy on będzie miał odwagę znów ją pocałować... i czy ona mu na to pozwoli.

Jednym z powodów, dla których przyjechała na tę wycieczkę, było to, że chciała wyrwać się ze znanego miejsca. Pomyślała, że to pomoże jej zdecydować, co chce zrobić ze swoim życiem. To, o czym marzyła kiedy miała dwanaście czy trzynaście lat, nigdy się nie spełniło i chciała pojechać gdzieś, gdzie mogłaby pomyśleć nad swoim życiem i może nauczyć się, jak spojrzeć na Justina świeżym spojrzeniem. Tylko, że on pojechał z nimi i teraz znów był tutaj. Część jej cieszyła się na jego widok, ale druga część była okropnie zła.

- Co ty robisz? – wrzasnęła, kiedy zbliżył się.

Justin, który już się uśmiechał, zatrzymał się nerwowo, jego jabłko Adama podskoczyło.

- Pobiegłem za wami. Daton powiedział, że nikt nie powinien być tutaj sam.

- Czy ja wyglądam jakbym była sama? – Narzekła, stając przed nim z rękami na biodrach.

Była wysoka, ale Justin nadal górował nad nią.

- Ale jesteście dziewczynami – zaprotestował i skrzywił się, kiedy zorientował się, co powiedział. Lizzy i obie spojrzały na niego. Nawet Shore skrzywiła się, jej brwi złączyły się. Zaczęła kapać na ziemię, jak zauważyła z roztargnieniem Lizzy.

- Nie nazywaj mnie dziewczyną – warknęła Loren i wykrzywiła się do Lizzy. - Nie zostanę z nim.

Odwróciła się i podążyła w stronę niedalekich doków, które wyciągały się daleko w głąb oceanu, małe okręty i łodzie stały po obu stronach. Mężczyźni gorączkowo ładowali i rozładowywali towary czy ryby i wrzeszczeli na siebie. Loren przeszła w tę stronę, prowadząc za sobą Shore.

Lizzy patrzyła na Justina. Wyglądał na nieszczęśliwego. Nie chciał nikogo obrazić, ale czasami wyrzucał z siebie najgorsze, co było możliwe. Zazwyczaj wtedy, kiedy ktoś inny był w pobliżu. Kiedy byli sami, był dużo bardziej pewny siebie.

- Masz szczęście, że nie słyszał cię żaden bitewnik – pożałowała się, nadal trochę zła, że poszedł za nimi. To co powiedział, było nawet gorsze. Większość świata nadal traktowała kobiety, jakby były obywatelami drugiej kategorii, ale bitewników w Dolinie bardzo denerwowało takie zachowanie. Nikt do tej pory nie zginął z powodu czegoś, co powiedział, ale wszyscy nauczyli się, żeby zachować takie seksistowskie opinie dla siebie.

Lizzy jednak nie mogła złościć się długo. Justin nie miał na myśli niczego złego, a ona i Loren uciekając, nie zachowały się za bardzo mądrze, nawet jeżeli po Loren podziewano się, że jest wystarczająco dorosła, żeby zachowywać się odpowiedzialnie. Oczywiście, pomyślała Lizzy, jeżeli jest tu Loren, nie będzie wciąż spędzać czasu z nastolatkami.

- Przepraszam – powiedział Justin

Westchnęła odwracając się i powoli poszła w dół doków za Loren i Shore.

- W porządku, ale mówiłam ci, że chcę trochę czasu dla siebie.

- Wiem. Ale tutaj nie jest naprawdę bezpiecznie – odpowiedział. – Daton powiedział mi, żebym poszedł za wami.

Powinna wiedzieć. Był zawsze obok niej ktoś, kto upewniał się, że zachowywała się jak grzeczna dziewczynka. Jak nie jej ojciec, to Daton, czy Justin zastępujący Datona. Lizzy musiała się uspokoić, zanim znów zacznie krzyczeć. To nie była tak naprawdę wina Justina. Powinna cieszyć się, że ufają jej na tyle, żeby zostawić ją z nim sam na sam, chociaż tak naprawdę to była jeszcze jedna rzecz, która ją drażniła, to, że nie bali się wcale zostawiać jej samej z Justinem.

Według ich matek, jak wydawało się Lizzy, małżeństwo było już czymś postanowionym. Była pewna, że tak by było, gdyby nie to, że Królowa Solie nie tolerowała aranżowanych małżeństw. Ostatecznie nikt nie mógł *zmusić* jej do poślubienia kogoś, kogo ona nie chciała, chociaż napomykali o tym bez końca. Spojrzała przelotnie na Justina, który szedł obok niej rozglądając się dookoła z takim samym zdziwieniem, jakie ona sama odczuwała aż do teraz. Nie była pewna, czy w ogóle chce wyjść za mąż za kogokolwiek. Jeszcze nie.

Małżeństwo. Loren mogłaby powiedzieć jej, żeby zaciągnęła Justina za stajnię i podrapała się tam, gdzie swędzi, a potem nie martwiła się już więcej, ale Loren zaciągnęłaby w ten sposób za stodołę niemalże kogokolwiek. Powiedziała Lizzy nawet, że uwiodła bitewników. Tego Lizzy nie była pewna. Loren nigdy nie wymieniła imienia żadnego z tych bitewników, z którym była, dla chronienia ich reputacji, ponieważ oczekiwano, że będą wierni swoim mistrzyniom. Ale z tego co Lizzy słyszała o ich apetytach, mogły być nawet większe, niż możliwości Loreny. Oczywiście Lizzy nie spodziewała się dowiedzieć kiedykolwiek, co one *naprawdę* lubią.

- Czy widziałeś wcześniej ocean? – zapytała Justina jako pewien sposób przeprosin.

Justin zdecydowanie potrząsnął głową.

- Jest niewiarygodny. I ten zapach!

Jej gniew zniknął. Lizzy zaśmiała się i odważnie sięgnęła, żeby chwycić go za rękę. Justin ścisnął ją i uśmiechnął się promiennie. Może to, że podążył za nimi, mogło okazać się nie tak złe.

Poszli w dół długich doków, ich buty dudniły na drewnie. Było dużo miejsca, ale obchodzili dookoła stopy towarów i mężczyzn zajmujących się rozładunkiem szalup. Rozlegały się krzyki i przekleństwa. Lizzy rozglądała się wokół siebie, schodząc z drogi pracującym, widziała ludzi o odcieniach skóry w tuzinie różnych kolorów i ubrania, jakich nigdy wcześniej nawet sobie nie wyobrażała.

Widziała wysokich mężczyzn, niskich mężczyzn, mężczyzn o ciemnej skórze i bladych mężczyzn. Widziała mężczyzn w tatuażach na wszystkich częściach ciała i niektórych z większą ilością biżuterii niż najbardziej próżna kobieta. Inni byli całkowicie pozbawieni włosów. Zachichotała i mocniej chwyciła rękę Justina, ciągnąc go za sobą, spiesząc się, żeby dogonić Loren i Shore.

Starsza dziewczyna stała na samym końcu doków, Shore kuciała obok, jakby zastanawiała się nad skokiem do wody, podczas kiedy jej mistrzyni flirtowała z mężczyzną w luźnych, powiewających ubraniach. Miał nagą pierś i tatuaże ciągnące się dookoła jego torsu i w górę ramion, okrążające jego kark. Uśmiechał się do Loren w sposób, który sprawił, że na karku Lizzy zjeżyły się włoski i zatrzymała się ona o kilka stóp od nich, nie wiedząc co zrobić.

- Może przybyłam tutaj, żeby znaleźć kogoś takiego jak ty? – Mówiła do mężczyzny Loren, przesuwając zalotnie palcem po jego piersi. Za nią, Shore była gotowa żeby skoczyć, ale jej mistrzyni chwyciła ją za ramię nawet nie patrząc.

- Z całą pewnością nie mamy w domu nikogo takiego jak ty.

- A gdzie jest ten dom – patrzył chytrze, w oczywisty sposób zainteresowany bitewnikami. Lizzy nigdy wcześniej nie słyszała takiego akcentu.

- Dolina Sylfów – powiedziała mu – Tuż za górami. W *tamtą* stronę – zrobiła niejasny gest, nadal uśmiechnięta.

- Naprawdę? – zapytał mężczyzna. Jego brwi uniosły się, a jego koledzy ze statku, którzy rozładowywali statek dwadzieścia stóp dalej, podczas kiedy on flirtował, spojrzeli z zaciekawieniem na to oświadczenie. Lizzy poczuła, że napięcie w powietrzu zmienia się z seksualnego w coś innego.

Shore spojrzała na górę i otworzyła usta. Loren nie zwróciła na to uwagi, tylko uwodzicielsko zatrzepotała rzęsami.

- Oczywiście. Dlaczego miałabym cię okłamywać?

- Dolina Sylfów – powtórzył. – To miejsce gdzie żyje tak wielu bitewników? – zmarszczył brwi. – Nie przywieźliście jakiegoś ze sobą? - Spojrzał na Lizzy i Justina, jego oczy stały się zimne.

Ręka Lizzy zacisnęła się na rękę Justina., która stała się lepka od potu. Nie miała nadziei na pomoc, a on po prostu zrobił krok w tył, sprawiając, że napięły się jej ramiona, kiedy nie cofnęła się razem z nim. Nie mogła się poruszyć. Coś było okropnie źle, a Loren tego nie widziała.

- Oczywiście nie – powiedziała zadowolona marynarzowi. – Wolę prawdziwych mężczyzn.

Wyszczerzył zęby.



- To dobrze.

Z nich wszystkich to Shore ruszyła się pierwsza. Skowycząc, mała sylfka chwyciła swoją mistrzynię, osłaniając ją od oszukańczego człowieka, swoją wodną materią otuliła Loren i cofnęła je obie na kraniec doków. Lizzy zobaczyła zdziwienie na twarzy Loren, zanim zniknęły pod wodą z przerażającym pluskiem. Mężczyzna z tatuażami zamknął ramiona w miejscu, gdzie przed chwilą była, a potem obrócił się z wściekłością w stronę Lizzy i Justina.

- Chwytać ich! – wrzasnął. – Wiecie, ile są wari!

Justin uciekł. Chwycił rękę Lizzy, odwrócił się i pobiegł w górę doków, krzycząc przeraźliwie. Zdziwieni rybacy patrzyli na niego, niechcący blokując ścigających ich, ale przy okazji również uciekającą Lizzy. Rozwścieczona kopnęła jednego z wytatuowanych mężczyzn w kolano, kiedy chwycił ją i pociągnął w drugą stronę. Nie miała pojęcia, czy umie pływać, ale planowała się przekonać.

Nie była wystarczająco szybka. O krok od krańca doków, mężczyzna, z którym flirtowała Loren, chwycił ją w pasie, przyciągając ją do swojej szerokiej piersi. Lizzy krzyczała, kopała i szamotała się, ale jej ojciec nigdy nie nauczył jej walczyć. W Dolinie Sylfów, gdzie było tak wielu bitewników, nie było to potrzebne. Jednak żaden z nich nie mógł usłyszeć jej krzyków z tak daleka, a rybacy stali i patrzyli niepewnie. Kilku z nich wyglądało tak, jakby chcieli coś powiedzieć, ale wytatuowany mężczyzna i jego kumple wyciągnęli noże, szczerząc się niebezpiecznie.

Marynarz zaciągnął Lizzy na szalupę, ignorując jej szamotaninę. Zdołała uwolnić ramiona i pchnąć go w ucho, ale on tylko popatrzył na nią i rzucił ją do szalupy. Upadła na ławkę, całe powietrze wyleciało z niej, a łódką zakolysało od siły, z jaką mężczyzna nią rzucił. Jeden z nich usiadł obok niej, jego ręka boleśnie ścisnęła jej szyję i przytrzymała ją na dnie łódki, kiedy ich przywódca krzyknął, żeby odpłynęli i zapomnieli o reszcie ładunku, ona była bardziej cenna. Lizzy nie miała pojęcia dlaczego.

W bólu i przerażeniu zaczęła lkać, płacząc za kims, kto przyszedłby i ocalił ją, ale nikt nie słyszał i nikt nie przyjdzie. Szalupa oddalała się od doków kierując się z stronę otwartego oceanu, gdzie były zakotwiczone wielkie statki z tuzina różnych królestw. Mężczyźni, którzy ją chwycili, zaczęli się śmiać, a wszystko, co mogła zrobić, to patrzeć na krzywiznę podłogi w łódce, nie mogła nawet unieść wzroku i zobaczyć, czy ktokolwiek widział jej uprowadzenie.

## Rozdział 3

Życie Solie rozpadło się sześć lat temu, tego dnia, kiedy wybiegła z domu, żeby uniknąć aranżowanego małżeństwa. Przygoda rzuciła ją w ramiona bitewnego sylfa i zabrała z daleka od tego wszystkiego, co знаła, sprawiła też, że stała się królową. Wiedziała, jak wiele miała szczęścia, bo z łatwością mogło stać się inaczej. Gorzej.

Jej bitewny sylf, Heyou, poczuł, jak Solie uprzytamnia to sobie, ale równocześnie poczuł jej przerażenie i oburzenie. Był gotowy zaatakować posłańców stojących przed nią po prostu dlatego, że wiadomość, jaką przynieśli, sprawiła, że tak się poczuła.

Sięgnęła i chwyciła jego ramię przytrzymując go, aż się uspokoił.

- Wiecie, gdzie ją zabrali? – Zapytała pochylając się w przód na wielkim kamiennym krześle, które ziemne sylfy zrobiły jako jej tron. Wyrzeźbiły go misternie, zmieniając w kształt tak koronkowo delikatny, jak płatek śniegu. Dla wygody podkładała sobie poduszki. Jedna z nich upadła na podłogę, ale Solie tego nie zauważyła wpatrując się w grupę, która stała u stóp niewielkiego podium, na którym stał tron. Solie nie chciała, żeby ktokolwiek jej się kłaniał.

Najstarszy z trzech mężczyzn, których Heyou nie znał za dobrze i którego obserwował uważnie, potrzęsął głową wyrażając przygnębienie. Był smutny, Heyou mógł to poczuć, ale równocześnie był dziwnie męski. Heyou nauczył się lubić mężczyzn, ale były to nadal pojedyncze przypadki i naprawdę nie chciał, żeby jeden z nich zbliżał się za bardzo do jego królowej. Jak również żaden z bitewników, którzy czekali w pokoju.

Daton poczuł, że wszyscy go obserwują i zadrżał, zanim odpowiedział.

- Nie, moja pani. Justin mówił, że widział ich przenoszących się na większy okręt z trzema masztami, ale zanim tam dotarł, okręt wypłynął w morze. Nawet nie wiemy, skąd pochodził. Zdecydowaliśmy się powrócić tu tak szybko, jak tylko mogliśmy.

- Pracownicy doków nic nie zapamiętali? – zapytała Solie.

- Nie, moja pani. A przynajmniej żaden nic nie powiedział.

Solie zamknęła oczy na chwilę.

- Musiał być ktoś, kto ją widział. Pytaliście?

W tej chwili brzmiała na bardziej zirytowaną i Heyou zasyczał. Danton wzdrygnął się z przerażenia, a chłopak obok niego sapnął.

Tylko dziewczyna była zdolna spojrzeć Solie w oczy.

- Czy ty uważasz, że to była nasza wina? – warknęła. Wszyscy bitewnicy zamruczeli, ale ich zignorowała. Każdy wiedział, że kobiety były bezpieczne przy bitewnych sylfach. – Co mieliśmy zrobić, szukać jej i sami skończyć w rękach porywaczy?

- Powiedz to jej ojcu – powiedziała Solie sucho.

Dziewczyna zaczerwieniła się. Miała na imię Loren, przypomniał sobie z opóźnieniem Heyou i była przyjaciółką królowej. Lepiej znał jej sylfa. Shore kulila się za swoją mistrzynią wpatrując się w ziemię.

*Widziałaś, co się stało?* Wysłał. Mały sylf spojrział na niego, była nieszczęśliwa. Uciekła od niebezpieczeństwa, to było oczywiste. Ale dlaczego nie miałyby uciec? Nie była stworzona do walki.

*Chcieli moją mistrzynię. Wzięłam ją i uciekłam. Mogłam unieść tylko jedną.* Shore przesłała Heyou emocje, jakie wtedy czuła, uczucia, kiedy uciekała od mężczyzn i Heyou westchnął. Nie było tego za wiele. Większość bitewników znała Lizzy dosyć dobrze, ale mogły śledzić tylko swoją mistrzynię lub królową. Gdyby to Solie została porwana...

No cóż, gdyby to była Solie, wszyscy porywacze byłiby już martwi.

- Chcę ją odnaleźć - powiedziała Solie. – Chcę, żeby każdy w tych dokach został przesłuchany, chcę znaleźć jakąkolwiek wskazówkę. Ktoś musiał widzieć, gdzie płynie ten statek!

- Chcesz, żebyśmy wrócili? – zapytał Daton niepewnie. Chłopak stojący obok niego przelknął. Loren tylko prychnęła.

- Nie – odpowiedziała zdecydowanie Solie. – Wcale nie zamierzam was posyłać.

Wspięli się na wierzchołki gór, niedaleko których leżało Para Dubh, nawet nie próbując ukryć swojej powierzchowności. Szesnastu potężnych spłynęło w dół ponad budynkami, jak gromada czarnych chmur przytykanych błyskawicami, z czerwonymi oczami i zębami uformowanymi z elektryczności. Powstrzymywali swoje aury, ale ci, którzy ich zobaczyli, nadal krzyczeli z przerażenia. Większość nie wiedziała, czym są, większość nigdy nie widziała bitewnika w ich naturalnej postaci, ale jeżeli widziało się ich szybkość i fakt, że najmniejszy był i tak większy niż wioska, strach był naturalną reakcją.

Mace nie był zaskoczony. Ludzie zawsze obawiali się jego gatunku, nie żeby go to interesowało. Był stworzony żeby chronić swój rój i królową. Jego odpowiedzialność powiększyła się o przyjaciół, których zdobył i Lily, jego mistrzynię i kochankę, która rządziła nim przed wszystkimi, ale uśmiechała się, kiedy byli sami. Zgodziła się, kiedy powiedział jej, co poleciała im Solie. Jeżeli Lizzy ma być znaleziona, on ją odnajdzie.

Dla niego i pozostałych bitewników to były rozkazy proste do zaakceptowania. Lubił Lizzy. Kiedy większość ludzi w dolinie dorastała wykorzystując jego rodzaj, tylko kilku nie będących mistrzami zupełnie nie czuło w ich obecności strachu, a Lizzy była jedną z takich osób. Przychodziła nawet do ich komnaty, którą bitewnicy mieli dla rozrywki, żeby porozmawiać z nimi i pobawić się. Myśl, że ktoś ją porwał, złościła ich wszystkich.

Poniżej nich przesuwano się miasto, budynki były rozsypane na zboczach wzgórz prawie jak rozrzucony ul. Macowi podobał się ten widok, ale nie zwolnił. Zamiast tego skręcił w stronę nabrzeża, a pozostali oskrzydłali go i podążali z tyłu w postaci ogromnego V. Wzniesli się ponad dokami, rozszerzając się, żeby pokryć je całe i Mace zmienił formę, ciężko lądując o kilka stóp od jednego z krańców. Doki były przed nim, naprzeciwko pomnika mężczyzny na koniu, tak jak opisali Loren i chłopiec.

Mace wyprostował się i odwrócił, spoglądając w blade twarze rybaków, którzy rozładowywali swoje łodzie.

- Trzy dni temu porwano dziewczynę z tych doków. Powiedzcie mi, gdzie ją uprowadzono.

Rybacy spoglądali na siebie, a potem skoczyli w panice w stronę doków. Mace wykrzywił się z rozdrażnienia, zmienił postać i skoczył za nimi.

Bitewnicy wylądowali wszędzie, domagając się odpowiedzi od przerażonych dokerów w Para Dubh. Odpowiedzi, jakie uzyskiwali, były w większości bezużyteczne, bo zamiast odpowiadać mężczyźni najczęściej błagali o swoje życie, przerażeni tymi zmiennokształtnymi inkwizytorami. W końcu wielu z bitewników straciło panowanie nad sobą, smagając swoją nienawiścią, a to sprawiło, że wszystko stało się jeszcze gorsze. Nie znaleźli nikogo w dokach, kto zapamiętałby blond dziewczynę porwaną przez grupę wytatuowanych żeglarzy.

Mace rozkazał żeby przepytac okoliczne kobiety, ale żadna z nich nie była obecna przy tym zdarzeniu, a większość z nich była równie przerażona jak mężczyźni. To sprawiło, że cała wyprawa mogła skończyć się niepowodzeniem. Zły i sfrustrowany, Mace stał w dokach i wpatrywał się w ocean. Ktokolwiek porwał Lizzy, był teraz daleko. W pobliżu były statki, bitewnicy latali dookoła nich, przepytując załogę czy coś wiedziała, ale żaden z nich nie udzielił im takiej informacji, jakiej chcieli. Mace wątpił, czy pomogłoby cokolwiek, gdyby jego oddział rozszerzył się i postarał się znaleźć łódź. Ocean to wielkie miejsce, a oni nie mieli sposobu, żeby ją wysledzić. Gdyby porwano Loren, Shore mogłaby ją odnaleźć, a oni podążyliby za nią.

Miał kilka wspaniałych pomysłów, co zrobiłby porywaczom i na chwilę zacisnął pięści. Od teraz żadna kobieta nie opuści Doliny bez eskorty, Mace nie będzie kierował się ich zdaniem. Ale Solie mogła na to się nie zgodzić. Lily mogła na to się nie zgodzić... wypuścił oddech. Bitewnicy nie mogli pilnować każdej kobiety w Dolinie, tak jak nie mogli strzec każdego sylfa.

- Cholera – wymamrotał.

Poczuł za sobą nienawiść. Nie pochodziła od jego towarzyszy. Mace znał dobrze ich wzory energii. Ci byli związani jako bitewnicy, niemalże szaleni, nienawidzący cały czas, karzący swoich męskich mistrzów nawet wtedy, kiedy im służyli.

Mace odwrócił się, spokojnie patrząc na nadchodzące istoty. W przeciwieństwie do bitewników z Doliny, którym przybranie ludzkich postaci pomagało uwodzić ich kobiece mistrzynie, ci tutaj mieli dziwne kształty, zaprojektowane żeby przerażać. Mogli poszczycić się

ogromnymi klami i szponami, wstrętnymi i odrażającymi. Mace tylko parsknął nieporuszony. Sam był wcześniej uwięziony podobnie jak oni, zmuszony do przybrania wyglądu zbroi przez kaprys sadystycznego dandysa. Gdyby mógł, uwolniłby te istoty, ale żeby to zrobić, musieliby wciągnąć ich do własnego roju, zmienić ich wzór energii tak, żeby pasował do wzoru ich królowej, a to można było zrobić tylko w obecności Solie.

Ich mistrzowie szli rzędem za bitownikami, których było czterech. Mace spojrział prosto na mężczyzn, wcale nie chciał rozmawiać z kimś, kto uwięził kogoś z jego rodzaju, ale Solie wydała mu rozkazy. Nie mogli rozpocząć wojny z całym światem.

- Jesteśmy z Doliny Sylfów - powiedział głośno do mężczyzn. – Z delegacji przysłanej do tego miasta została porwana dziewczyna i uprowadzona na trójmasztowym żaglowcu. Szukamy każdego, kto wie, gdzie mogła być zabrana.

Czterech bitowników zatrzymało się, warcząc i piniąc się jak niekształtne psy. Ich mistrzowie niepewnie spojrzeli na siebie nawzajem, a tym czasie pozostali bitownicy Maca wylądowali dookoła nich, przybierając ludzką postać, lub unosząc się ponad nimi w swojej naturalnej postaci. Związani patrzyli na nich, ich zazdrość była oczywista.

Ich panowie natychmiast zobaczyli, że utracili przewagę. Jeden bitownik był w stanie zniszczyć miasto. Całe królestwo Para Dubh miało ośmiu. Szesnastu było poza ich rozumieniem.

Dolina Sylfów nie zrobiła nic swoim najbliższym sąsiadom, woląc zawierać umowy handlowe z Para Dubh, chociaż nie mieli formalnego sojuszu i bardzo uważnie obserwowali, żeby upewnić się, że populacja bitowników Para Dubh nagle się nie zwiększy. Solie uważała, że zmuszanie jakiegokolwiek sylfa do niewolnictwa jest złem, a to, co robiono, żeby związać bitowników, było wstrętne. Mace zgadzał się z jej oceną, chociaż nie mógł nalegać, żeby cokolwiek z tym zrobić. Jak powiedziała Solie, nie mogli toczyć wojny z całym światem. Oczywiście wysyłając Leona i Rila po informacje do Yed i dając im wolną rękę do sabotażu, jeżeli tylko będą mieć taką możliwość, ryzykowała ewentualny konflikt. Zwłaszcza biorąc pod uwagę atak Eferem sprzed sześciu lat. Ale mądry wysłannik z własnym bitownikiem to co innego.

Mace patrzył na naradę mężczyzn. Bali się. To mógł stwierdzić bez naturalnej u jego rodzaju empatii. Wiedzieli, że nie mogą walczyć z takim oddziałem, z taką przewagą liczebną, ale musieli zachować twarz, mając nadzieję, że nie obrócą przy okazji całego miasta w ruiny.

- Nie mieliśmy nic wspólnego z porwaniem tej dziewczyny – odezwał się jeden z nich.

- Wiemy – odpowiedział Mace. – Została uprowadzona przez mężczyzn noszących luźne ubrania i mających tatuaże, mężczyzn z żaglowca. Przybyliśmy tylko, żeby dowiedzieć się, gdzie zacząć szukać.

Dwóch mistrzów bitowników obserwowało ich ostrożnie, a ten, który odezwał się, skinął głową.

- Mężczyźni z tatuażami i na trójżaglowcu? – rozmyślał. – Więc musieli być z Meridal. Wielu żeglarzy stamtąd jest wytatuowanych i wielu handlowców meridalskich wykorzystuje szkunery z trzema masztami. Chociaż to po drugiej stronie świata – zmarszczył brwi. – Szczerze mówiąc to ma sens. Porywają i sprzedają dziewczęta, gnojki. Chociaż zgodzili się, że nie będą tego robić tutaj. Chcieli handlu bardziej niż naszych kobiet.

Mistrzowie bitewników wyraźnie byli zszokowani niewolnictwem, chociaż jak Mace zauważył z obrzydzeniem, postawa mężczyźni nie rozciągała się na ich sylfy. Mace czekał, mając nadzieję usłyszeć więcej, przyswajając sobie fakt, że Lizzy została sprzedana i uświadamiając sobie przemoc, jaką ją spotkała.

- Gdzie mogli ją zabrać? – zapytał w końcu.

- Na południe – usłyszał odpowiedź. – Jeżeli byli z Meridal, jeżeli porwali dziewczynę, przepłyną morze i sprzedadzą ją. Mają sylfa powietrznego, który pcha ich statek. Teraz odплыnęli już na setki mil, mogli już sprzedać ją w tuzinie różnych miast – mężczyźni zmarszczył brwi jeszcze bardziej. – Jeżeli porwali jedną dziewczynę, mogli porwać i tuzin. Zamierzacie uwolnić tylko waszą?

Mace wzruszył ramionami.

- Sprowadzimy z powrotem każdą kobietę, jaką znajdziemy.

Mistrz bitewnika skinął głową. Najwyraźniej nie chciał ich tutaj, ale był dyplomata i nie miał nic przeciwko, żeby pomóc walczyć z niewolnictwem.

- Powodzenia w poszukiwaniach – powiedział więc, potem odwrócił się i odszedł, jego bitewnik ruszył za nim posłusznie. Zachowując się tak, jakby szesnastu obcych bitewników w ich dokach było niczym, o co trzeba było się martwić, poszedł z powrotem drogą, którą przyszedł, zostawiając rybaków i kupców wpatrujących się, bojących się powrócić od pracy, a nawet bojących się zaprotestować. Pozostali mistrzowie bitewników przez chwilę patrzyli na niego ze zdziwieniem, zanim pospieszyli w jego ślady.

Mace spojrział na swoich piętnastu podkomendnych. Popatrzył na ocean, ogromny i nieprzenikniony. Nigdy nie widział tak wiele wody.

- Rozszerzyć się – powiedział im. – Znajdźmy ją.

Bitewnicy zagrzmieni, wzbijając się w powietrze, rozszerzając się nad falami, ścigając się z wiatrem, polując na każdy statek mający trzy maszty i załogę złożoną z mężczyźni w luźnych spodniach i z tatuażami.

Mace patrzył, jak wzlatają zamieniając się w dym i błyskawice, a potem sam wzniósł się w powietrze. Szybował prosto na południe, wzbijając się ponad białymi grzywami fal tak szybko, jak tylko śmiał. Bitewnicy byli potężni i rozszoszczeni, ale nie byli nieograniczeni. Ocean był ogromny i wzburzony, a jedyna energia, jaką mogli się karmić na tym świecie, pochodziła od ich kobiet. Bez Lily przy swoim boku, Mace nie mógł lecieć zbyt daleko stąd,

czuł się już zmęczony tak szybkim lotem ponad górami. Jeżeli polecą za daleko, nie będzie miał wystarczająco dużo siły, żeby wrócić. Jeżeli ten statek był oddalony o setki mil, popychany przez powietrznego sylfa, może nigdy go nie znajdą. Mogą szukać przez setki lat i nawet nie zauważyć.

I okazało się, że miał rację.

## Rozdział 4

Od dnia, kiedy został ranny, rozerwany przez dwóch innych bitewników podczas obrony roju, Ril musiał sypiać. Wcześniej, przez piętnaście lat swojego niewolnictwa, spał może z tuzin razy, za każdym razem krótko. Teraz spał, jak śpią ludzie, leżąc każdej nocy nieczuły i słaby jak zwłoki. Bezużyteczny.

Nigdy nie śnił za wiele, nawet przy zwiększonym zapotrzebowaniu na sen, ale tym razem obudził się z koszmaru, którego nie mógł zrozumieć, czy zapamiętać, drżąc z zażenowaniem, kiedy w jego umyśle rozlegał się krzyk kobiety. Każdy instynkt mówił mu, żeby zamienić się w swoją naturalną postać i zaatakować to, co było zagrożeniem, ale kiedy chciał to zrobić, sapnął z bólu, jego całe ciało zbuntowało się. Przeszedł go spazm bólu, jakby tysiące larw chciało przegryźć się przez niego i opadł na posłanie drżąc. Mógł zmienić kształt, gdyby zaakceptował ból, ale powrót do jego prawdziwej postaci był na razie poza jego możliwościami. Z postrzępioną osłoną nie mógł utrzymać swojej naturalnej postaci, nie bez pomocy i nie bez bólu. Opadłby w nicość, gdyby próbował.

Ril usiadł, rozglądając się naokoło, kiedy mieszanka różnych uczuć dobiegła go od pozostałych. Był już późny poranek, minęło śniadanie i jego towarzysze już się obudzili. Leon stał nad małym ogniskiem i machając gwałtownie rozłożonymi ramionami przeklinał i wołał do Gabraliny, żeby się uspokoiła. Blondynka tańczyła dookoła szaleńczo, krzycząc.

- Pszczola! – wrzeszczała. – To pszczola! Zabij ją! Zabij ją!

Pacnęła w malutką brzęczącą postać i odskoczyła. Nadal przeklinając, Leon machnął ręką, sfrustrowany i rozzłoszczony.

Już całkiem obudzony, Ril wyszedł z posłania strzepując koc, kiedy skoczył naprzeciw nadciągającej fali energii. Leon zobaczył Rila w momencie, kiedy ten wystrzelił. Uderzył w większego mężczyznę, wywracając ich obu na ziemię. Ril przeturlał się, zmuszając swojego mistrza do pozostania pod nim i wyrzucił solidną ścianę energii ignorując ból, jaki to spowodowało.

Energia wybuchła. Nadal podtrzymując swoją aurę nienawiści, Wat przesuwiał się, żeby bronić swojej mistrzyni. Pełna moc podmuchu uderzyła w osłonę Rila, przepływając po niej i przechodząc dalej, sprawiając, że drzewa i krzaki wyparowały, niszcząc ich obóz i konie, które były uwiązane za obozem. Po chwili wszystko ucichło, a Ril zastanawiał się, czy ten kretyński bitewnik zniszczył swoją własną mistrzynię, tym samym powracając do ich oryginalnego świata.

Najwyraźniej jednak nie. Ril usłyszał ją płaczącą, kiedy schodził z Leona, odreagowując dreszczami wydatkowaną moc. Kiedyś mógł z łatwością odrzucić taką energię. Teraz był bezradny.

Leon podniósł się, sprawdzając najpierw co z jego bitewnikiem, zanim rozejrzał się rozzłoszczonymi oczami za Watem. Sylf stał z Gabraliną w środku okręgu zniszczenia



szerokiego na prawie pięćset stóp<sup>4</sup>, gruchając. Poza kępą trawy tuż pod ich stopami wszystko dookoła po prostu zniknęło, wypalone do gołej skały. Dziewczyna rozglądała się dookoła zdumiona, z roztargnieniem gładząc ramię swojego bitewnika, kiedy on ją przytulał. Biorąc to za zaproszenie, zaczął lizać jej szyję.

- Jejku – powiedziała. – Naprawdę zabiłeś tę pszczołę.

- I wszystko inne też! – wrzasnął Leon, jego twarz poczerwieniała. Wat spojrział na niego rozzłoszczony i widać było jak Leon zmusza się do uspokojenia. – To nie było konieczne, Wat.

- Została zaatakowana – zaprotestował Wat.

- Przez pszczołę – odrzekł Ril, spoglądając na niebo, aż do teraz częściowo zasłaniane przez drzewa. Tak dobrze było po prostu poleżeć przez minutkę. Mógł wstać później. – To była przesada.

- Co to jest przesada?

- Kiedy unicestwiasz wszystko w promieniu pięciuset stóp, żeby ochronić swoją mistrzynię przed owadem wielkości paznokcia – Leon potrząsnął głową i spojrział na Rila.

- Dziękuję – wymamrotał.

Ril tylko wzruszył ramionami i zamknął oczy zapadając w drzemkę.

- Nie lubię pszczół – powiedziała Gabralina prostodusznie, uśmiechając się do swojego bitewnika. – Jesteś taki mądry!

Chwilę później, Leon musiał podejść i rozdzielić ich.

Dzień chylił się niemalże ku końcowi. Byli o dwa i pół tygodnia od królestwa Yed, ale nadal więcej niż półtora tygodnia od domu. Co gorsze, niepokój Leona zwiększało to, że byli na terenie królestwa Eferem, którego królowi kiedyś służył. Alcor nadal siedział na tronie, ale ponieważ jego kapłani zostali prawie całkowicie zniszczeni, a poza tym utracił sześciu bitewników, trzech przeciągniętych, a trzech zlikwidowanych w konflikcie sprzed sześciu lat, teraz obawiał się wyzwać Dolinę Sylfów. Zamiast tego chował się w swoim zamku, ze swoim bitewnikiem, Thrалlem, zawsze przy boku. Leon wiedział, że ten człowiek był żądny mocy i paranoiczny, ale jego strach kontrolował go bardziej, niż cokolwiek innego i nie będzie ryzykował następnego ataku. Nie, dopóki nie zmienią się okoliczności. Chociaż to nie powstrzymałoby go od chęci zobaczenie głowy Leona na włócznie.

Byli nadal na południowym krańcu królestwa, z daleka od głównego miasta, ale Leon nie chciał pozostać w tym miejscu dłużej, niż to konieczne. A już zwłaszcza nie po małym epizodzie z Watem. Przebyli kilka mil, ale strefa wybuchu znajdowała się na często

---

<sup>4</sup> ok. 152 metry. Biedna Maja na pewno nie przeżyła ☺

uczęszczanych terenach. Mogą zostać zauważeni, a Alcor nadal ma bitewników. Leon nie ufał Watowi w razie walki, a nie chciał ryzykować Rila. Musieli odczekać, zanim zaczną uciekać, a przynajmniej dać odpocząć Rilowi.

Jego bitewnik leżał na boku, na krańcu okręgu, mając postać dereszowatego konia, z rudą, gładką i lśniącą sierścią. Oddychał regularnie. Zmiana postaci była dla niego koszmarem, ale kiedy już to zrobił, dochodził do siebie. Leon zasugerował mu, żeby przez chwilę się przespalił i Ril nie protestował. Był zmęczony po utrzymywaniu osłony i zmianie postaci. Leon nie był zaskoczony. Kiedy dotrą do domu, będą musieli zrobić sobie długą przerwę.

Wolał myśleć o tym, a zwłaszcza o fakcie, że pozbędzie się Gabraliny i jej głupkowatego bitewnika. Leon wiedział, że dziewczyna doznała okropnego szoku i nadal była zdenerwowana, ale jęczała za utraconymi zapasami całe popołudnie, aż w końcu zagroził, że ją zaknebluje, jeżeli nie przestanie. To ją uciszyło, ale teraz jej uczucia zostały zranione i wyglądała niemalże jakby miała się rozplakać. Wat stał niedaleko, patrząc bez wyrazu na Leona.

- Wat, czy możesz zmienić się w konia?

- Konia?

Leon modlił się o cierpliwość.

- W takie zwierzę, na jakim jechała Gabralina. Czarnego konia z białym nosem. Zmień się w takie zwierzę.

- Dlaczego?

- Ponieważ ona potrzebuje konia do jazdy. Ja będę jechał na Ril. Widzisz go? Zmienił się już w konia.

- Nie jest czarny z białym nosem.

Leon zacisnął ręce.

- To nie ma znaczenia, jakiego będziesz koloru.

- Więc dlaczego poprosiłeś mnie, żebym zamienił się w czarnego konia z białym nosem?

- Co jest nie tak z Rilem? – odezwała się Gabralina, najwyraźniej oderwana od dąsów. – Czy jest chory?

Leon wziął głęboki wdech.

- Nie. Zmiana postaci jest dla niego trudna. Śpi.

Zmarszczyła brwi.

- Wat nie śpi.

- Wat nie potrzebuje – wyjaśnił. – Jest bardzo zdrowym bitewnikiem. Ril nie jest. Ale nie lubi, żeby zwracać na to uwagę – dodał.

- Och. Czy Wat jest silniejszy?

- Tak – westchnął. – Co oznacza, że nie powinien mieć problemów ze zmianą w konia, bez znaczenia jakiego koloru.

- Dlaczego? – zapytał znów Wat.

- Ponieważ zamieniłeś nasze konie w pył, a droga jest za daleka, żebyśmy z Gabraliną szli.

- Jak to się stało, że Ril jest słabszy od Wata? – zapytała Gabralina.

Dziewczyna zadawała więcej pytań niż dziecko, ale była to najprawdopodobniej następna oznaka jej strachu. Wydawała się nie wiedzieć, jak odnosić się do Leona, poza lamentowaniem i zadawaniem pytań. Po dwóch i pół tygodnia jej towarzystwa Leon wiedział już, że odmówienie jej odpowiedzi spowoduje tylko, że będzie zadawać jeszcze więcej pytań, jakby wyczuwała, że jej nie lubi. Ludzie z Yed wybrali ją jako ofiarę tylko dlatego, żeby wreszcie się zamknęła, zdecydował. Ril w pełni zgadzał się z tą oceną, nie cierpiał dziewczyny. Leon nie odczuwał tego tak mocno, ale był w stanie odpowiedzieć na niekończąca się rundę pytań tylko wtedy, kiedy wyobraził sobie swoją trzyletnią córeczkę Mię. Zadawała tak wiele pytań, że jego żona, Betha, przysięgła, że nie będzie miała więcej dzieci. Ale Mię przynajmniej w końcu można było ułożyć do drzemki.

- Był kiedyś ranny - odpowiedział Leon mając nadzieję, że to wystarczy. – Wat, proszę, zmień się w konia.

- Jak? – zapytała Gabralina, patrząc się ze zmartwieniem na Wata. – Myślałam, że oni nie mogą być zranieni.

Leon westchnął. Poczul, że głowa zaczyna mu pulsować.

- Został rozdarty przez innego bitewnika, kiedy był w swojej naturalnej postaci. W tej formie są podatni na zranienia. Umarłby, gdyby uzdrowicielski sylf go nie ocalił.

- To okropne – wyszeptała Gabralina z załzawionymi oczami. – Czy poczuje się lepiej?

- Nie – odrzekł Leon. – Czy możemy wrócić do tematu rozmowy? Proszę?

Potrząsnęła głową.

- Dobrze. Wat, bardzo chciałabym, żebyś zmienił się w konia.

Spojrzał na nią z uwielbieniem.

- Wszystko co zechcesz.

Natychmiast stał się tłuściutkim czarnym koniem, oczywiście bez białego nosa. Gabralina pisnęła z zachwytu i zaczęła kierować nim, aby udoskonalić tę postać.

Leon zostawił ich i przeszedł do Rila. Nie wiedział, czy jego bitewnik słyszał swoje imię, ale Ril już nie spał, przeturlał się na brzuch z nogami podwiniętymi pod siebie. Widząc Leona wstał na nogi.

Leon położył rękę na ciepłej szyi sylfa.

- Ta dziewczyna mnie wykończy – wymamrotał, przyciskając twarz do delikatnej sierści. Ril zarżał cicho, Leon objął go ramieniem za szyję i odpoczął opierając się o niego.

Kiedy był spokojny i zwracał na to uwagę, mógł stwierdzić kiedy Ril pije jego energię. Właśnie teraz poczuł to odczucie, niewyraźne ciągnięcie głęboko z wnętrza ciała, które sprawiało, że jego serce zaczęło bić szybciej, ale w żaden sposób nie było niewygodne. Ril nie zabierał dużo. Nie mógł wchłonąć tak wiele, jak potrzebował, a nawet to nie było szczególnie zauważalne. Leon nie wiedział, jak bitewnicy mogli wciągnąć tak mało, a robić tak wiele, ale tak właśnie było. To co było niewielkim wydatkiem dla niego, znaczyło tak wiele dla Rila, więc stał tam cierpliwie pozwalając, żeby kontakt był jak łatwy, jak to tylko możliwe.

W końcu Ril odsunął się, jego oczy pojaśniały, kiedy potrząsnął grzywą. Obejrzał się na Leona i pogrzebał kopytem w kurzu, w wyraźny sposób chciał już wyruszyć.

- Ty i ja razem – powiedział Leon.

Obszedł naokoło do lewego boku bitewnika. Chwytną grzywę Rila jedną ręką unosił się na plecy sylfa. Ril parsknął, ale poza tym stał spokojnie.

- Powiedz mi, jeżeli jazda będzie dla ciebie problemem – uprzedził go. Nigdy wcześniej nie jeździli w ten sposób, ale żaden z nich nie widział podczas tej podróży żadnych koni na sprzedaż. A nie chcieli też ryzykować i zabierać Wata i Gabraliny do miasteczka.

Z rękami na jego szyi Leon odwrócił Rila delikatnym zaciśnięciem kolan. Ril posłuchał, chociaż jego ogon podlatywał regularnie, żeby pacnąć swojego mistrza. Leon uśmiechnął się.

- Tylko wyobraź sobie, jak przykro mojemu tyłkowi, że musi siedzieć na twoim kręgosłupie do końca dnia – zapewnił bitewnika. Ril zaśmiał się końskim śmiechem.

Zorientował się, że będą musieli unikać głównych traktów. Konie, na których jeździ się bez uprzęży, łatwo zauważyć. Ale kiedy podniósł wzrok, zbladł. Gabralina siedziała na wysokim, eleganckim, wspaniale białym koniu, który lśnił od srebrnych kopyt przez jedwabistą, sięgającą ziemi grzywę, aż po perłowy spiralny róg wyrastający z jego czoła.

- Och, na miłość bogów – warknął. Poczul, że jego ból głowy wraca.

Lizy skuliła się w malutkiej klatce we wnętrzu statku, gdzie została przyprowadzona. Była chora i przerażona. W innych klatkach beczwały kozy i gdakały kury, wszystkie protestując

przeciwko wznoszącemu się i opadającemu ruchowi statku, a także przeciwko ciemności. Jej porywacze nie zostawili jej nawet małej lampki, żeby mogła cokolwiek widzieć. Skulona w kącie objęła ramionami kolana i zapłakała, niezdolna powstrzymać łez.

Nigdy w życiu nie była tak przerażona, nawet wtedy, kiedy bitewnik, który o mało co nie zabił Rila, wdarł się do komnaty, gdzie ona i wszyscy inni ukrywali się. Widziała jak jego oczy lśnią szaleństwem, zanim Heyou zablokował go, ocalając jej życie. Miała koszmary o tej chwili przez sześć lat, obawiając się, że bitewnik wróci. Kiedy koszmary stawały się naprawdę złe, wymykała się ze swojego łóżka i szła przez miasteczko do komnaty, w której odpoczywały sylfy. Zazwyczaj nie spały, ale przebywały w niej razem, wzlatając w wielkiej masie splecionych chmur i światła. Lizzy przychodziła tam i spała w kącie, czując się bezpiecznie pod ich cichą ochroną. Chciała być tam teraz, chciała tego tak bardzo, że aż bolało ją w środku.

- Ril – zakwilila, chcąc żeby przybył i ją ocalił, ale Ril był bitewnikiem jej ojca, nie jej. – Tatusiu – wyszeptala zamiast tego. – Och, tatusiu.

Statek zakolysał się wpływając na falę i żołądek Lizzy skręcił się, chociaż nie było w nim jedzenia ani wody, które mogłaby zwymiotować. Porywacze karmili ją, ale tylko raz dziennie, a wodę, którą przynosili jej trzy razy na dzień, już wypila. Próbowala nie wypić jej całej, ale była tak spragniona, że nie mogła się powstrzymać. Na pokładzie nad sobą uslyszala odlegle glosy zeglarzy biegajacych w rozne strony i pokrzykujacych na siebie podczas pracy. Część jej chciała, żeby ktoś zszedł na dół tylko po to, żeby mogła zobaczyć inną osobę, ale druga jej część bała się tego. Mężczyźni mieli przykazane nie gwałcić jej, za nietkniętą kobietę mogliby wytargować więcej pieniędzy, ale kilku z nich przyglądało się jej w taki sposób, jakby myśleli o tym, żeby zwrócić kapitanowi tę różnicę w cenie.

Lizzy ukryła twarz w kolanach. Będzie sprzedana, zmieniona w niewolnicę z powodu jej blond włosów i dziewictwa, ale co ważniejsze, z powodu jej wiedzy o bitewnikach z Doliny Sylfów. Kapitan statku wiedział o nich i o tym, że Solie przestraszyła przywódców świata i był pewien, że będzie mógł dobrze sprzedać te informacje. Inaczej będzie miał kłopoty, jak powiedział jej ponuro. Nie będzie mógł odwiedzać Para Dubh przez długi czas, przez ich poglądy na niewolnictwo, ale pieniądze, które ona mu przyniesie, będą tego warte. Za sekrety bitewników zażyczy sobie dziesięć tysięcy złotych monet!

Szlochala, pragnac byc w domu. Najgorsze bylo, ze znala ten sekret. Wiedziala, dlaczego bitewnicy w Dolinie byli tak powszechni i tak pelni dobrej woli. Nikt nie przypuszczal, ze bedzie miala okazje o tym mowic... ale jak ma to ukryc teraz, jezeli beda ja torturowac?

Kraty jej klatki byly zimne. W koncu wiedziala, jak czul sie Ril, kiedy byla dzieckiem, uwiezony w postaci ptaka, niezdolny do mowienia, niezdolny do dzialania, mogacy komunikowac sie jedynie przez przesuwanie klocek z literami i ukladanie ich w slowa. Powiedzial jej, ze ja kocha!

Lizzy zaplakala pragnac, zeby byl tutaj i w jakis sposob, mimo uplywu lat, nadal tak uwazal.

## Rozdział 5

Droga, przytulona do gór oddzielających Dolinę Sylfów od Para Dubh, prowadziła dookoła krańca pustyni, ale po tej stronie nadal nie było widać nic żywego, poza szarymi zaroślami i pojawiającymi się sporadycznie jaszczurkami. Przesuwając się z trudem cały czas naprzód, grupa dotarła do Doliny Sylfów o zmroku, kiedy księżyc nadal wspinał się na niebo. Samo miasteczko było na drugim końcu doliny, niedaleko małego jeziora. Poza tym było tu tylko kilka rzadko rozmieszczonych zagród, położonych bliżej pastwisk bydła, czy bliżej pól, które uprawiali mieszkańcy.

Gabralina chciała zatrzymać się o zmierzchu, ale będąc tak blisko domu Ril odmówił i po prostu mozolnie szedł dalej, chociaż opuścił nisko głowę ze zmęczenia. Blondynka dosiadająca Wata, który teraz przynajmniej wyglądał jak normalny koń, nie miała żadnego wyboru, tylko podążyć za nimi, trajkocząc nerwowo przez całą drogę, co też ona zrobi, jeżeli nikt jej nie polubi.

- Zamknij się, a będziesz spała w prawdziwym łóżku dzisiejszej nocy – powiedział jej ostro Leon. Jego tylek był tak obtarty, jak przewidywał, ale zatrzymał to dla siebie. Mógł prawie poczuć zapach domu i swojej rodziny. Chęć zobaczenia ich wszystkich była przytłaczająca. Będzie w domu. A minęły miesiące.

- Naprawdę? – Zapytała Gabralina ożywiając się. – Obiecujesz?

- Tak. A teraz pospiesz się. Jeszcze tylko kilka mil i będziemy w miasteczku – Leon uniósł głowę na powiew wietrzyka wyobrażając sobie, że czuje zapach pszenicy i kukurydzy wzrastającej na polach i słyszy ryczenie bydła. Znów zacisnął kolana dookoła żeber Rila, przekazując swoją gorliwość, żeby być w domu. Bitewnik zastrzygł uchem i przeszedł w cwał, jadąc szybko w dół szeroką, równą drogą, którą ziemne sylfy ułożyły z połamanymi skałami.

Gabralina krzyknęła za nimi i zawołała Wata, żeby ich dogonił. Kopyta dźwięczały na kamieniach i znów pojawił się biały koń. Blondynka machała nogami na jego grzbiecie, jadąc na nim okrakiem, jej twarz była beztroska, a włosy powiewały z tyłu.

Wcześniej nie robiła czegoś takiego, tylko siedziała spokojnie na grzbiecie Wata, czy wcześniej na grzbiecie wałacha, ale Leon był pewny, że w przeszłości jeździła konno, po sposobie, w jaki trzymała się grzywy, jakby to były lejce. Wat cwałował mijając Leona i Rila, jego nozdrza poruszały się z podniecenia. W odpowiedzi Ril znów zastrzygł uchem i parsknął.

Zdając sobie sprawę, co się dzieje, Leon wsunął ręce w grzywę bitewnika, chwytając ją porządnie i zapierając się kolanami.

- Nie przemęczaj się za bardzo – wyszeptał, wiedząc, że zostanie zignorowany.

Ril przeszedł w galop, pędząc szaleńczo za tamtą dwójką. Minał ich w ciągu chwili i pogalopował naprzód, jego kopyta uderzały o ziemię.

Leon zaśmiał się na widok zdziwienia na twarzy dziewczyny.

- To nie fair! – Zawodziła, a Wat krzyknął, natychmiast podwajając tempo. Dwóch bitewników pędziło, galopując po kamieniach szyja w szyję. Leon pochylił się bliżej do Rila.

- Nie wiedziałem, że potrafisz biec tak szybko – zaśmiał się do jego ucha. Bitewnik tylko parsknął i podwoił wysiłki, wyprzedzając Wata o kilka stóp.

Gabralina gwałtownie uderzyła piętami, jej sylf ryknął i znów zrównał się z Leonem i Rilem, potem wyprzedził ich po raz drugi. Ril zmusił się, żeby zmniejszyć odległość i obaj po raz kolejny biegli szyja w szyję.

Szybciej, niż jakiegokolwiek żyjące konie, obaj lecieli w dół drogi. Droga zakrzywiała się, skręcała, a potem schodziła gwałtownie w dół. Głęboka i ogromna dolina rozciągała się dalej, niż Leon mógł zobaczyć w świetle księżyca, ale mógł widzieć punkciki świateł niedalekiego miasteczka, pojedynczy blask od samotnej farmy leżącej bliżej. Dwóch bitewników wspięło się na szczyt i skoczyło, lądując na pochyłej drodze, ich ciała wyciągnęły się, kiedy pędzili w stronę celu, uderzenia ich kopyt rozchodziły się echem przez noc. Światło księżyca niemalże niknęło w cieniu Doliny, ale Leon nie martwił się, że przy następnym wzgórzu stracą punkt podparcia. Nie ta dwójka.

Pochylając się tuż przy szyi Rila, Leon spojrzał na Gabralinę. Po raz pierwszy jej twarz wydawała się ożywiona i niezmartwiona, jej oczy lśniły, jej uśmiech był ogromny. Nie zdawał sobie sprawy, że może być kimkolwiek poza paplającą myszą. Nie znalazł jej na tyle. Jej miłość do sportu była może jedyną rzeczą, jaka ich łączyła.

Ril wygrał w ostatniej chwili. Znajac układ miasteczka zeskoczył z drogi, uderzając o plot (i mężczyznę za nim, który akurat szedł do przybudówki), zrobił dwa susy, przesadził ogrodzenie po drugiej stronie dziedzińca i wjechał na miejski rynek o jakieś dziesięć stóp przed Gabraliną. Miała ogłuszony wyraz twarzy. Leon zaśmiałby się, gdyby równocześnie nie wyglądała na zmieszaną. Zamiast tego uśmiechnął się do niej, a ona zaczerwieniła się, odwracając twarz.

- Wy dwaj oszukiwaliście – stwierdziła.

- Nie wiedziałem, że są jakieś zasady – powiedział jej łagodnie Leon, mniej zainteresowany jej reakcją, a bardziej tym, co jego bitewnik zrobił sobie podczas tego szaleńczego wyścigu. Poglądził szyję Rila i zamruczał do niego pocieszająco, świadomy po mrowieniu w ramieniu, że sylf właśnie pije jego energię.

Zaalarmowani odgłosami ich przybycia, czy może bardziej wiedząc już, kiedy grupa przybyła do Doliny, trzech bitewników w niebiesko- złoty ubraniach szło w dół ulicy, patrząc na nich z rezerwą. Wat stał tylko jak idiota. Z tyłu za nim, z gospody, która była równocześnie zajazdem, wyszli mężczyźni i kilka kobiet.

- Claw - zawołał Leon do jednego z bitewników. – Proszę, powiadom królową. Muszę widzieć się z nią w jej sali audiencyjnej tak szybko, jak tylko Ril dojedzie.

Dziwaczny, niebieskowłosy bitewnik zadrżał i zniknął, lecąc jako dym w kierunku jednego z otworów, które prowadziły do podziemnej części miasteczka i zniknął w jego wnętrzu.

To w końcu przyciągnęło uwagę Wata. Spojrzał w miejsce, gdzie zniknął bitewnik, zastrzygł uchem.

- Gabralina – zawołał Leon. Spojrzała na niego. – Witaj w Dolinie Sylfów. Chciałbym, żebyś zabrała Wata do komnaty audiencyjnej królowej. Będzie uradowana, że może cię poznać – skinął do jednej z dziewcząt służących w tawernie. – Cherry, proszę, czy możesz ją tam zabrać?

- A ty gdzie jedziesz? – Zapytała Gabralina, najwyraźniej znów zdenerwowana. Ześlizgnęła się z grzbietu Wata, a on zmienił się natychmiast i powrócił do ludzkiej postaci. Wszyscy bitewnicy znieruchomieli. Mogli zaatakować go w każdej chwili.

- Zaraz wrócę – zapewnił ją Leon. – Obiecuję.

Mógł poczuć drzenie Rila pod nim, ale trącił sylfa kolanami, jakby uważał, że nic złego się nie dzieje i poklusowali za róg. W chwili, kiedy zniknęli z zasięgu wzroku, zeskoczył z grzbietu bitewnika i obrócił się do niego, pomagając mu utrzymać się na nogach.

- Ty dupku – powiedział. – Czy ty próbujesz wykończyć samego siebie? - Kiedy Ril rzucił mu pełne złości spojrzenie, Leon potrząsnął głową. – Chodź.

Doprowadził bitewnika do drzwi w murze otaczającym dwa budynki. Po drugiej stronie były schody, które prowadziły do części rozciągającej się pod miasteczkiem. To było miejsce, gdzie wszyscy mieszkańcy mogli schronić się przed burzą, czy w razie ataku. Droga była oświetlana przez lampki oliwne, które zawsze były pełne i Leon pomógł Rilowi zejść w dół schodów, które były wystarczająco szerokie dla nich dwóch, chociaż zbyt pochyle, obojętnie, czy dla człowieka, czy dla konia. Na końcu korytarza zobaczył ziemnego sylfa idącego w ich stronę.

- Proszę, zawołaj Luck - powiedział małej postaci, kiwając jej głową. Pozdrowiła go bezplciową twarzą zrobioną z błota i pospieszyła, chociaż niewiele szybciej niż oni.

Leon zabrał Rila do komnaty leżącej obok sali tronowej królowej. Nie chciał, żeby Gabralina to zobaczyła, lub przyprowadziła tu Wata.

W ogromnej komnacie unosiło się cały czas przynajmniej dziesięciu bitewnych sylfów, przybycie obcego bitewnika do serca ich domu mogłoby źle się skończyć. Nie miał pojęcia, ilu bitewników było tu teraz.

Komnata miała sto stóp szerokości, sufit był zrobiony z czystego szkła, które sięgało ponad ziemię, w powietrze, ale było obecnie zaciemnione przez chmury dymu i błyskawic. Wielu bitewników spoglądało w dół, na nich, a kilka z nich dryfowało swobodnie, ciągnąc



w stronę Rila. Ten odsunął się od Leona i wszedł w głąb komnaty, otoczony przez wirującą energię.

Coś zamigotało za nim. Leon odwrócił się i zobaczył niewyraźną postać wchodzącą do komnaty, kierującą się z stronę Rila: Luck. Była jedynym uzdrowicielskim sylfem, jakiego mieli i wybawicielką Rila. Położyła na nim swoje ręce i zmienił się bezboleśnie, zamieniając się w dym i błyskawice.

Wyglądał w jakiś sposób na niedokończonego, jego postać wydawała się mniej realna niż sylwetki pozostałych, mniej obecna, ale Luck ukoila przemianę, kiedy inni bitewnicy otaczali go, podtrzymując go swoimi mackami, jakby podtrzymywali noworodka. To był jedyny sposób, w który Ril mógł przybrać swoją własną postać i Leon poczuł ulgę bitewnika. Pozostałe sylfy będą przy nim, kiedy będzie spał, a kiedy obudzi się, Luck pomoże mu zmienić się z powrotem. Tak było od sześciu lat i tak będzie tak długo, jak będzie żyć bitewnik.

- Śpij spokojnie, Ril – wymamrotał Leon i wyszedł wywiązać się ze swoich innych obowiązków.

Gabralina rozejrzała się z przestraczem dookoła, trzymając obiema rękami jedno z ramion Wata. Sylf lekcewał Rila przez całą podróż, więc nie traktowała ani jego, ani Leona jako zagrożenia, ale teraz patrząc na tuzin postaci stojących dookoła nich, Wat z nienawiścią wyszczerzył zęby. Do tej pory był to najdłuższy czas, jaki spędził nie zajmując się nią, zorientowała się, rozglądając się po podziemnej komnacie, do której została wprowadzona. Komnata była oświetlona przez ognistego sylfa, stoły i krzesła stały dookoła ścian, a rzeźbione kamienne krzesło wznosiło się w tyle komnaty. Gabralina nigdy nie widziała czegoś tak delikatnie pięknego.

- Co to za miejsce? – zaskomlała.

Jej przewodniczka, dużo mniej atrakcyjna kobieta nosząca fartuszek, wzruszyła ramionami. Miała na imię Cherry.

- To królewska sala tronowa i komnata audiencyjna.

- Dlaczego są tutaj ci wszyscy bitewnicy? – Sprawiali, że była nerwowa.

Kobieta znów wzruszyła ramionami.

- Chronią królową. Są na tym punkcie trochę szaleni. Ale przynajmniej jej słuchają. Jest tutaj jedyną młodą kobietą, która ma bitewnika. – Cherry spojrzała na Gabralinę z niewyraźnym niezadowoleniem. – Poza tobą. Wiesz, to nie jest w porządku.

Gabralina zamrugła, nie zauważając zazdrości drugiej kobiety. Była do niej zbyt przyzwyczajona.

- Słuchają jej? Czy nie powinni słuchać swoich mistrzów?

- Pewnie. Ale wszystkie sylfy w pierwszej kolejności słuchają królowej. Tak to już jest.

Po drugiej stronie komnaty otworzyły się drzwi i weszła młodziutka kobieta z długimi czerwonymi puklami. Miała na sobie pomiętoszone ubranie, a jej włosy były okropnie rozczochrane, jakby właśnie wstała z łóżka, ale i tak była piękna. Bitewnik podążający za nią miał postać pięknego, młodego mężczyzny, jego spojrzenie odnalazło Wata i nie wydawał się uszczęśliwiony.

Widząc rudą głowę, wszyscy bitewnicy w komnacie uklonili się i Gabralina coś sobie uzmysłowiła.

- To jest królowa? – sapnęła – W jaki sposób stała się tak ważna?

- Eeee... z tego co słyszałam, miała seks z bitewnikiem.

- He?

Ręka Leona zacisnęła się dookoła jej ramienia i Gabralina przestraszona krzyknęła, co odbiło się echem po całej komnacie.

- Cicho – uciszył ją. – Mamy tu niewiele formalnych zasad zachowania, ale to miejsce ma dobrą akustykę – poprowadził ją naprzód, Wat podążał za nimi przez pokój.

- Powiedziałeś mi, że stanie się coś okropnego, jeżeli będę miała seks z Watem – wyszeptala.

- Bo stałoby się coś okropnego – zapewnił ją. – Stałabyś się królową, jak Solie. Więcej niż jeden rój to już za wiele. Nie martw się, za chwilę to już będzie bezpieczne.

- Bezpieczne od czego? Jak?

Leon podszedł do królowej, która czekała obok swojego bitewnika i skinął głową wielkiemu, ociężałemu, opalonemu mężczyźnie stojącemu o kilka stóp po jej lewej stronie.

- Jest cały twój, Mace.

- Co? – (What?) – Gabralina pisnęła. Wat spojrział na nią, wyczuwając jej przestach, a także dlatego, że jej pisk był przypadkowo podobny do jego imienia. Nagle bardzo bała się o niego. Leon nie uprzedził jej o niczym.

Nie było czasu na myślenie. Mace wyciągnął rękę i Wat zeszytniał, jego oczy rozszerzyły się. Gabralina zalkała czując jego nagle znieruchomienie i strach, ale Leon chwycił ją i cofnął do tyłu. Coś wewnątrz Wata zmieniło się, przesunęło i chociaż nie utraciła swojego kontaktu z nim, poczuła, że jego uwaga stała się podzielona, istota tego, czym był, przekształciła się. Zadrżał raz i było już po wszystkim. Zamrugął, energicznie potrząsnął głową. Wielu z bitewników wędrowało po komnacie, włączając tego ogromnego, nazywanego Mace. Nie wyglądali na zainteresowanych ochronieniem królowej przed Watem, już nie.

- Wat? – wyszeptala. - Co się stało?

- Jest teraz członkiem roju – wytłumaczył Leon. – Jest akceptowany przez pozostałych.  
– Wzruszył ramionami, po czym dodał z rozbawionym wyrazem twarzy. – A co do ostrzeżenia o nie spaniu z nim, teraz już jest w porządku. Nic złego się nie stanie.

Nic? Nic. Poza tym, że teraz ma kochanka i miejsce, gdzie nikt nie będzie miał żadnego powodu, żeby pytać ją o przeszłość. Całe napięcie opuściło ją tak łatwo, jak stało się to z jej bitewnym sylfem i Gabralina uśmiechnęła się przepięknie, kiedy odwróciła się by pozdrowić królową.

Podczas przedstawienia Solie patrzyła na nową dziewczynę obok Leona, który stał ze skrzyżowanymi ramionami, wyglądał na zmęczonego i głodnego, ale czekał cierpliwie, aż zakończą się wszystkie formalności. Nauczył ją wszystkiego, co wiedział o dyplomacji i prowadzeniu królestwa. Prawdopodobnie upewnił się, że Gabralina będzie miała bezpieczne schronienie, zanim on sam pójdzie do domu, co znaczyło, że najwyraźniej nie miał jeszcze pojęcia o losie swojej najstarszej córki. Solie pękało serce. Nie chciała mu mówić, ale powinien być powiadomiony o tym, co się stało, zanim jakiś idiota w dobrej wierze zdradzi się z tym.

Znając doświadczenia dziewczyny prawie poświęconej w ofierze i jej obawę, czy nie jest niegrzeczna, Solie uśmiechnęła się do blondynki, najnowszej mieszkanki Doliny Sylfów i przerwała jej.

- Jak się cieszę, że tu jesteś! Musisz być wykończona. Poproszę Davona, żeby przygotował ci pokój, w którym będziesz mogła odpocząć. – Skinęła palcem i Davon podszedł, wyglądając na zaskoczonego.

– Mamy wykopane wiele komnat, tak na wszelki wypadek. Większość z nich nie jest wykorzystywanych przez większość czasu...

Blondynka zamrugła głupio i Solie zorientowała się, że zaczyna paplać. Zdeterminowana, żeby zakończyć sprawę, pomachała na do widzenia i podeszła do Leona. Chwyła go za rękę. Uniósł brwi.

- Leon, chodź ze mną.

Ze słowa sprzeciwu poszedł za nią. Wyprowadziła go z komnaty i przeszła do prywatnego pokoju, nieco dalej w dół korytarza, jednego z położonych niedaleko komnaty, gdzie jak wyczuła, odpoczywał Ril. Heyou podążał za nią, wyczuwała od niego zmartwienie. Solie wiedziała, że zastanawia się nad tym, jak zareaguje ojciec Lizzy.

- Co się stało? – zapytał Leon półgłosem, kiedy byli już sami. Solie tylko potrząsnęła głową i zamknęła drzwi. Pokój, w którym byli, miał wąskie łóżko i krzesło, a także wiadro i mop. Leon odsunął się od niej i obrócił się, krzyżując ręce na piersi. – Dobrze, powiedz mi.

Solie wzięła głęboki wdech. Heyou przesunął się bliżej, położył ręce na jej ramionach, a ona zmusiła się, żeby zachować spokój. Ze wszystkich mężczyzn ten był tym, którego najbardziej szanowała. Cała społeczność nie przetrwałaby bez niego ucieczki roju na klify sześć lat temu.

- Leon, bardzo mi przykro, ale mam złe wieści. Chodzi o Lizzy – była zmuszona przelknąć i wziąć głęboki wdech. – Zniknęła. Pojechała do Para Dubh i została porwana. Posłałam szesnastu bitewników, żeby jej poszukali i sprowadzili do domu, ale jej nie znaleźli. My... nie wiemy, gdzie ona jest.

Leon znieruchomiał, jego twarz straciła wszystkie kolory. Będąc tak blisko niego, Solie nie mogła nic poradzić, że dzieliła jego emocje przez Heyou. Poczula jego ból jak uderzenie nożem.

- C-co? – wyjąkał.

- Leon, tak mi przykro – przepraszała. – Posłałam ich tam, bo nigdy nie pomyślałam, że może stać się coś takiego. Proszę, wybac mi.

Nie miała pojęcia, czy jej wybaczył. Leon odwrócił się, szarpał się z gałką od drzwi i chwilę później wybiegł na korytarz, biegnąc w stronę swojego domu i rodziny. Solie zwiesiła głowę, a Heyou objął ją ramionami.

Leon czuł mocne uderzenia butów o ziemię, kiedy biegł, słyszał swój własny, spanikowany oddech. Ktoś miał jego dziecinę! Nie mógł myśleć o niczym oprócz tego. Ktoś miał Lizzy!

Biegł po tych samych schodach, po których sprowadził Rila w dół, potknął się i upadł na jedno kolano. Nie zwrócił uwagi na ból, podniósł się natychmiast, pchnął drzwi na górze i pobiegł w dół ulicy, pochwa od miecza uderzała o jego nogi, poruszał ramionami. Może mijal ludzi, którzy zatrzymywali się i patrzyli za nim, ale nie był tego pewien. Ktoś chyba go zawołał, ale nie usłyszał tego.

Jego dom leżał o kilka ulic od głównej ulicy, był na tyle blisko od głównego rynku, że Betha była szczęśliwa, ale na tyle daleko, że nie mieli uczucia, jakby całe miasto tłoczyło się przy ich schodach. Ich mieszkanie nie było tak duże, jak stary dworek w Eferem, nie mieli też służby. Wszystko robili sami, dziewczęta utrzymywały mieszkanie w czystości, prały ubrania. On i Ril wykonywali remonty i prace konserwacyjne. Wszyscy dbali o ogródek z tyłu i kurnik połączony z małą stodołą, dla kilku koni i krowy. Drzwi do szafy Lizzy skrzypiały, przypomniał sobie. Miał zamiar naprawić to po powrocie. Mówiła mu, że to doprowadza ją do szaleństwa, a on nie zajął się tym. Powinien był to naprawić!

Góra domu była ciemna, tylko pojedyncze światło świeciło się w salonie poniżej. Leon przeskoczył przez schody prowadzące na werandę i przeszedł przez drzwi wejściowe, których nigdy nie zamykali. Przedpokój wewnątrz był ciemny, światło, które widział z zewnątrz, zgasło.

- Betha! – krzyknął.

Rozległy się okrzyki z salonu i jego żona od dwudziestu pięciu lat pojawiła się, w zmierzwionym ubraniu, z włosami na wpół wymykającymi się z koku i z zalzawionymi, czerwonymi oczami. Popatrzyli się na siebie, a potem rzucili się sobie w ramiona, oboje płacząc

i ściskając się tak mocno, że stało się to bolesne. Na drugim piętrze rozległy się kroki i pozostałe dziewczynki, w koszulach nocnych, zbiegły po schodach wołając swojego ojca.

Cara miała dwanaście lat, włosy, zazwyczaj zaplecione warkoczyki, miała rozpuszczone. Za nią gramoliła się dziewięcioletnia Nali, z włosami ciemnymi jak u jej matki i oczami wypełnionymi łzami. Za nimi, prowadząc trzyletnią Mię, szła siedmioletnia Ralada, prawie płacząca, ale zdeterminowana, żeby zachowywać się odpowiedzialnie. Uwieszona jej ręki Mia paplala pytania, na które Leon nie wiedział jak odpowiedzieć.

Nadal przytulając swoją żonę, Leon opadł na kolana, ciągnąc ją za sobą i wyciągnął ramiona do dziewczynek. Tłoczyły się dookoła niego, a Leon zapłakał również, marząc, żeby nigdy nie był tak głupi, żeby wyjeżdżać z domu.

Pod miasteczkiem, otulony energią pozostałych bitewników, pływając w niej, jakby był jakimś rodzajem nienarodzonego dziecka, Ril utrzymywał swoją naturalną postać i spał.

A śpiąc śnił.

## Rozdział 6

Ril obudził się, czując się równocześnie wypoczętym i głodnym. Luck pomogła mu powrócić do jego ludzkiej postaci. Siedział na podłodze, kiedy uważnie go zbadala, a potem zadowolona z tego co zobaczyła, poklepała go po głowie i wyszła. Spoglądając w górę na bitewnika, który trzymał go całą noc, Ril skinął głową w podziękowaniu. Dillon pozdrowił go bez słów.

Jego głód nie był podobny do głodu ludzi. Ril wstał i ziewając wyszedł z pokoju. Wokół błakali się bitownicy, wchodząc i wychodząc z sali audiencyjnej królowej, wszyscy odziani na niebiesko- złoto. Ril spojrzał w dół na swoje pobrudzone w podróży ubranie zanim uciekł do następnej komnaty, jednej z wielu nowych. Jego własne miejsce było niedaleko wejścia, specjalnie wybrane dla niego na poziomie, do którego był łatwy dostęp. Przebrał się w swoje niebiesko- złote spodnie i białą koszulę, a na wierzchu niebiesko- złotą marynarkę. To umundurowanie było pomysłem Solie, żeby każdy, kto nie znał ich twarzy, był ostrzeżony, że ma do czynienia z bitewnikiem. Wcześniej miało miejsce kilka wypadków. W tym ubraniu czuł się sztywno i formalnie, ale nigdy celowo nie pokazywał się bez niego w mieście. Był bitewnikiem, bez znaczenia co myśleli o tym inni, albo o czym szeptali.

Ril wyprostował się dumnie, kiedy zapinał guziki marynarki, a potem ruszył w stronę powierzchni, jego myśli nie sięgały dalej niż śniadanie, czy też może lunch, poprawił się, kiedy zorientował się, że słońce jest wysoko na niebie. Niektórzy ludzie uważali za dziwne, że sylfy używają takich określeń karmiąc się od mistrzów, ale jakich innych słów mieli używać?

Szedł w dół chodnika, ludzie rozstępowali się, żeby go przepuścić. Kierował się w stronę domu Leona. Cały czas mógł wyczuć, gdzie jest jego pan, chociaż nie zawsze mógł skupić się na tym, co on czuje. Ale teraz, Ril zmarszczył brwi, Leon był smutny. Bardzo smutny. Niemalże w stanie hysterii.

Ril przyspieszył, zanim zorientował się, co robi, już biegł. Zdenerwowani ludzie gorączkowo schodzili mu z drogi. Bitownicy ponad nim zaryczeli, wyczuwając przez swoich mistrzów jego cierpienie. Każdy bitewnik, który był na zewnątrz, zniknął, niektórzy z nich zabierając ze sobą swoich mistrzów. Ril niczego nie zauważył. Wbiegł na schody prowadzące na ganek jednym skokiem i uderzył w drzwi wejściowe. Zakolysały się na zawiasach waląc w ścianę, kiedy Leon pojawił się w wejściu na końcu holu, z nożem w ręku. Był do połowy nagi i nie ogolony, jego oczy były oszalałe i nabiegłe krwią. Ril nie widział go w tak kiepskim stanie od dnia, kiedy został niemalże powieszony. Zahamował tuż przed swoim mistrzem, wpatrując się w niego. Za Leonem, Betha i młodsze dziewczynki siedziały przy kuchennym stole, wszyscy w nocnych koszulach.

- Co się stało? – wpatrywał się w nich Ril.

Leon przełknął ciężko, zadławił się i opuścił nóż.

- Straciliśmy Lizzy.

To nie miało sensu. Ril nachylił głowę na bok.

- Co?

- Zniknęła – powiedział nieszczęśliwy Leon. – Została porwana. Nikt nie może jej znaleźć. Nawet nie wiemy, czy jeszcze żyje.

Siedzące przy stole siostry Lizzy zaczęły płakać.

To naprawdę nie miało żadnego sensu. Z głową nadal pochyloną Ril wpatrywał się w Leona, chociaż tak naprawdę go nie widział. Był głodny energii mężczyzny, ale nie myślał, żeby ją wziąć. Lizzy? Jego Lizzy? Widział jej narodziny, strzegł jej dzieciństwa, nawet obiecał jej, że będzie jego królową, zanim Solie nie dostała go pierwsza i nie przyłączyła do swojego roju. Obiecał jej wszystko, zanim bitewnik Yanda rozerwał go na dwoje i pozostawił złamanego i nic nie wartego.

- Ril? – odezwał się Leon.

Ril odwrócił się, przeszedł w dół korytarza i wyszedł na ganek. Sąsiedzi, którzy nie wiedzieli, że Leon był w domu, widząc Rila wchodzącego do środka zgromadzili się, żeby przekazać swoje kondolencje. Ril ich zignorował, zamknął oczy. Jego Lizzy, jego piękna Lizzy! Kochał ją, chciał, żeby została jego królową, nawet błagał o jej miłość, dzięki jej niewinnemu pozwoleniu, wziął w siebie jej wzór energii, przechowując go obok wzoru Leona i Solie. Potem ignorował go przez lata, wiedząc, że nie jest już dla niej wystarczająco dobry. Żyła w mieście otoczona przez bitewników. Mogli ją chronić, powtarzał sobie. Mogli dla niej zabijać, a ona sama ułoży sobie życie. Wyjdzie za mąż, będzie miała dzieci. Zapomni o nim.

Ril skupił się na wzorze sprzed lat, pozwolił, żeby go wypełnił. Potem, na oczach wpatrujących się w niego ludzi, wyciągnął rękę, obracając się powoli i wskazując coraz bardziej na południe, w kierunku krańca doliny.

- Tam – powiedział w końcu. – Ona jest tam.

Stojący za nim Leon, zszokowany, prawie wytrącił go z transu.

- Co ty mówisz?

- Jest tam – odetchnął Ril. – Mogę ją śledzić.

Leon wpychał szaleńczo ubrania do torby podróżnej, nie dbając o to, że pomną się, czy nawet porwą. Ubrania, pieniądze... Będzie potrzebował pieniędzy, żeby wynająć statek i na drugim brzegu kupić konie. Mydło i ręcznik? Czy będą potrzebne? Oczywiście, że tak, o czym on myśli. Coś dla Lizzy? Jakies ubrania? Zatrzymał się na chwilę i przyłożył trzęsącą się dłoń do zalawionych oczu. Myślał, że ją stracili, a Ril może ją wysledzić. Jakim cudem, u licha, on może ją wysledzić? Leon o to nie dbał. Będą ściagać jej porywaczy, zabiją ich i odzyska swoją

dziecinę. Tylko on, czterdziestosiedmiolatek, zaczynający odczuwać każdą zimną noc i kaleki bitewnik. Żaden z pozostałych bitewników nie mógł pójść z nimi, nie ryzykując swoich cennych mistrzyń.

Zapłakał głośno, ale przełknął to i odepchnął te rzeczy, których nie mógł zmieścić w torbie. Ril przebierał się w sąsiednim pokoju. Mace powiedział, że zabierze ich do Para Dubh, a Solie dała im tak wiele pieniędzy, jak tylko mogła, włączając w to kilka klejnotów, które miała ukryte w obcasach butów. Lizzy najprawdopodobniej została sprzedana. Może będą mogli ją odkupić.

Zamierzają sprzedać jego małą dziewczynkę? Leon ukrył twarz w dłoniach.

Usłyszał swoje imię i spojrzał w górę, żeby zobaczyć swoją żonę stojącą w drzwiach. Nigdy nie krzyczała na niego przez cały ten czas, kiedy zostawiał rodzinę i jechał na kolejną cholerną misję, albo kiedy spędzał więcej czasu z Rilem niż z nią. Musiała cierpieć cały ten czas. Ale teraz podeszła do niego i objęła go ramionami.

- Upewnij się, że wróćcie do domu – wyszeptała. – Wszyscy. Rozumiesz? Nie wracaj bez niej!

- Nie wrócę – obiecał Leon, ściskając ją mocno. – Sprowadzę ją z powrotem.

- A potem nigdy już nie spuszczę jej z oka – dodała Betha zjadliwie.

Leon zaczął szlochać. Nic na to nie mógł poradzić, ale jego żona również zapłakała, jej palce wbily się w jego plecy, kiedy go obejmowała.

- Papa! – wrzasnęła Cara – Papa, zejdź tu na dół!

Leon odsunął się od Bethy ocierając oczy.

- Lepiej tam zejdę – powiedział, usiłując się uśmiechnąć. Oczy jego żony również lśniły od łez.

- Zrób to. Skończę za ciebie pakować, głupi mężczyzno – odwróciła go do drzwi i poklepała go po pośladku, żeby skierować go w odpowiednią stronę.

Leon wyszedł na korytarz i zszedł schodami na frontowy ganek. Na zewnątrz domu Mace siedział na huśtawce obok Wdowy Blackwell, swojej mistrzyni. Leon nie miał najmniejszego pojęcia, jak kobieta miała na imię, ale patrzyła na niego współczująco. Tak jak pozostali wiedział, że najchętniej pojechałaby z nimi, ale zajmowała się każdym urwisem i sierotą w mieście. Była ostatnią osobą, która mogła wyjechać, a to oznaczało, że Mace również nie mógł. Nie dalej niż do Para Dubh.

Myślał o niej tylko przez chwilę, zanim obrócił się w stronę frontowego dziedzińca. Większość sąsiadów nadal tu była, stojąc w grupach i rozmawiając, a wszyscy rzucali spojrzenia na młodego człowieka czekającego nerwowo przy ganku z ciężką torbą podróżną leżącą obok nóg. Justin Porter. Spojrzał na Leona, nerwowo ściskając w rękę kapelusz.



- Yyy... - zająknął się. – Jadę z wami.

- Co? – Leon zamrugał.

Chłopak wziął głęboki wdech, a Leon zastanawiał się z niechęcią, gdzie był jego ojciec. Cal Porter dostałby zawału sera, gdyby wiedział, co proponuje jego syn. To, lub zagadałby ich wszystkich na śmierć.

- To ja byłem z Lizzy, kiedy została porwana. Powinienem ją obronić, ale puściłem ją. Muszę teraz to naprawić.

- Nie jedziemy tam, żeby ocalić twoją dumę, chłopcze – odpowiedział zimno Leon.

- To nie o to chodzi.

- Nie mam na to czasu – odrzekł Leon, odwracając się, żeby wrócić do domu.

- Kocham ją! – krzyknął Justin. Leon zatrzymał się, każdy miesiąc w jego ciele napiął się. – Kocham ją - powtórzył chłopak. – Chcę ją poślubić – Leon obrócił się i zobaczył, jak przygnębiony był Justin, kiedy dodał:

- Muszę jechać. Jeżeli nie zabierzecie mnie ze sobą i tak podążę za wami. Nie dbam o to, ile to będzie kosztować, zamierzam sprowadzić ją z powrotem.

Leon wpatrywał się w młodzieńca, naprawdę wpatrywał się w niego marząc, żeby mieć chociaż raz zdolność empatii, jak Ril. Nie żeby Ril dbał o to, o myślą inni, ale właśnie tego teraz Leon zazdrościł bitewnikowi.

- Dobrze – powiedział, niejasno obawiając się, że nigdy nie zgodziłby się na to, gdyby nie był emocjonalnie wyczerpany. – Ale musisz nadążyć – Leon westchnął i dodał, kiedy Justin uśmiechnął się szeroko, ogromnym i niewinnym uśmiechem. – Wejdz do środka.

Chłopak minął go, zabierając ze sobą bagaż, a Leon potarł czoło i spojrzał na Mace'a. Wielki bitewnik patrzył przed siebie w ciszy, trzymając w swoich rekach rękę wdowy. Uśmiechała się.

Leon wszedł do środka, przechodząc koło Mii i dookoła Ralady. Cara i Nali w kuchni krzyczały na siebie. Kiedy szedł w dół korytarza, obie dziewczęta odwróciły się od Justina do niego.

- Ja też chcę jechać! – zażądała Cara.

- Nawet nie zaczynaj – powiedział jej i spojrzał na Justina. – Pokaż mi, co spakowałeś.

Chłopak skinął gorączkowo głową i zaczął wysypywać zawartość plecaka na stół.

Ril wszedł do kuchni. Mia ścisnęła jego nogę, kiedy próbował zapiąć płaszcz. Widząc Justina zatrzymał się, uniósł jedną brew. Justin również go zobaczył i zastygł przelitykając ślinę. Ril spojrzał na Leona.

- Jedzie – stwierdził. Krocząc ciężko wyszedł z pokoju, poszedł zobaczyć, co spakowała jego żona. Po jego wyjściu Ril spojrział na przestraszonego chłopca i zawarczał. Justin cofnął się.

Po raz drugi w tym samym tygodniu Mace leciał ponad górami w stronę Para Dubh. Tym razem jedyny bitewnik, który towarzyszył mu w drodze, był pod jego osłoną, razem z dwoma mężczyznami. Byli niewygodni do trzymania, ponieważ musiał się stać na tyle bezcielesny, żeby móc lecieć, a na tyle solidny, żeby ich utrzymać w górze. Starał się nie popychać ich, ale ucieszył się, kiedy wreszcie wylądowali w dokach i mógł ich puścić. Ril zatrząsł się, spoglądając w wodę, kiedy Justin zarzucił plecak na plecy i czekał nerwowo.

- Dziękuję - Leon odwrócił się w stronę Mace'a i skinął głową.

Mace przesunął energię, żeby również skłonić się. Mógł wyrzucić swoje myśli, żeby przemówić w tej postaci, ale tylko do Solie i Lily. Był pewien, że nie chciał robić tego dla żadnego mężczyzny, ale Leon był inny. Musiał być, skoro Ril mu wybaczył. Mace nigdy nie ocaliłby swojego pierwszego mistrza, nawet gdyby Jasar nie był sadystą i podstępny zabójcą kobiet.

„Powodzenia” wysłał zamiast tego do Rila. Młodszy bitewnik odwrócił się i uniósł dłoń machając.

Mace nie mógł sobie wyobrazić, jak można żyć, będąc tak uszkodzonym, jak był Ril. Gdyby byli w swoim pierwotnym roju, Rilowi nie pozwolono by przetrwać po otrzymaniu aż takich ran, skoro sprawiała, że w następnej walce był bezużyteczny. Ale słowo Solie nadal było prawem, a Ril był bratem.

„Wracaj do nas” dodał i znów podniósł się z ziemi, wznosząc się w powietrze, żeby wrócić do Doliny. Jego obecność tylko utrudniłaby im wynajęcie statku.

„Czy nie tak zawsze robię?” przesłał na koniec Ril. „Strzeż Królowej”.

To była następna rzecz, której Mace nie mógł zrozumieć. Właściwie opuścić królową...? Ril był naprawdę dziwnym bitewnikiem. Mace zatrzepotał i wzniósł się wyżej, gorąco pragnąc wrócić do Lily i Solie, gdzie życie nie było takie skomplikowane.

Poniżej Ril patrzył na bitewnika, który był jego pierwszym prawdziwym przyjacielem w tym świecie, który stał się jego domem. Znał myśli i poglądy Mace'a. Bitewnicy nie mają sekretów przed sobą, to było coś, czego ludzie tak naprawdę nie rozumieli. Okłamywali się nawzajem cały czas, nawet tego nie zauważając. Bitewnicy tacy nie byli.

Wiedział, co czuł Mace i znów obrócił się, żeby spojrzeć na morze, ciemnoniebieską przestrzeń, za którą uprowadzono Lizzy. Czuł, że było tak głębokie jak świat i szersze od wszechświata.

Nie oglądał się.

## Rozdział 7

Lizzy nie widziała, kiedy statek zadokował, ale poczuła, jak uderzył burtą o nabrzeże i usłyszała podekscytowane okrzyki mężczyźn. Wszystko nachyliło się w sposób, który był odmienny od płynięcia po falach, po czym zatrzymało się. Potem statek poruszał się tylko w górę i w dół, jakby podskakiwał.

Minęły godziny, zanim po nią przyszli. Lizzy skuliła się w kącie klatki, jedną ręką zasłaniając oczy, bo światło groziło jej oślepieniem. Drzwi zagrzechotały, kiedy łańcuchy zostały odpięte, a ona kulila się głębiej w kącie, z bijącym sercem. Powinna być odważna, wiedziała o tym. Powinna z nimi walczyć. Tak zrobiłby jej ojciec. Ale wszystko co mogła zrobić, to kwilić, kiedy chwycili ją za ramiona i wywlekli z jej więzienia, śmiejąc się grubiańsko. Została skrepowana i chwycona w miejscach, gdzie nikt nigdy jej nie dotykał. To sprawiło, że krzyknęła i zapłakała, kiedy nałożyli jej żelazo, skuwając jej stopy i nadgarstki kajdanami z wiszącym pomiędzy nimi długim łańcuchem. Ciężar rwał jej nadgarstki. Ojciec mógłby uderzyć porywaczy tymi łańcuchami. Lizzy została pociągnięta przez podłogę i na drewniane schody.

Po raz pierwszy, odkąd została porwana, zobaczyła słońce. Trzymała głowę opuszczoną, zacisnęła oczy, kiedy ciągnięto ją przez pokład. Słyszała nawołujących się żeglarzy, ale nie mówili nic do niej, dla nich była tylko ładunkiem. Lizzy trzymała zamknięte oczy. Światło sprawiło ból, a i tak bała się cokolwiek zobaczyć. Ciepło panujące w tym miejscu było niemalże przytłaczające, jak ściana, która napierała na jej pierś, kradnąc jej oddech. Mogła poczuć dziwne zapachy przebijające przez woń soli, wody, odór nie mytych mężczyźn i jej własny brud.

- Jest brudna – odezwał się głos, brzmiał nieporuszony. – I chuda. Czy zadaliście sobie trud karmienia jej?

Lizzy zmusiła się do spojrzenia w górę, osłaniając oczy trzęsącą się ręką. Ponad nią, na pokładzie, stał mężczyzna, z którym Loren była tak głupia, że flirtowała. Ignorował Lizzy, zamiast tego patrzył niepewnie na kogoś innego, grubego, mocno opalonego mężczyznę, który wyglądał jak owinięty w prześcieradło i miał na sobie więcej biżuterii, niż Lizzy kiedykolwiek widziała. Był przesycony zapachem perfum.

- Jest z doliny, gdzie żyją wolni bitewnicy – powiedział jej porywacz. Lizzy nie wiedziała jak miał na imię, ale patrzył na przybyłego z wymuszonym szacunkiem. Lizzy domyślała się, że jeżeli nie przekona przyodzianego w szatę mężczyznę o jej wartości, straci wiele pieniędzy. Myśl o tym, co jej wtedy zrobi, była przerażająca. – Wie, jak oni to robią.

- Och – prychnął wyperfumowany mężczyzna. – Nie kupuję bajek. Myślisz, że jestem głupi? Wolni bitewnicy. Hmm. Wy żeglarze uwierzycie we wszystko. – Spojrzał w dół na Lizzy, mierząc ją spojrzeniem, kiedy jej porywacz belkotał gorączkowo. – Chuda, następna bez piersi. Zbyt blada, żeby dać ją na pole. Umrze z gorąca. Za bardzo blond. Nikt nie chce dziewczyn z włosami jak słoma – znów parsknął. – Zbyt północna. Będę musiał sprzedać ją

daleko w głąb kraju, żeby powstrzymać dyplomatów od szukania jej i krzyków, że łamiemy umowy. Ledwie warte wysiłku.

- Chyba nie mówisz poważnie – jęknął porywacz. – Wiesz, ile poświęciłem, żeby ją tu sprowadzić?

- To nie moja wina. Nigdy ci tego nie poleciłem – Wyperfumowana mężczyzna zrobił krok w przód, przyglądając się Lizzy krytycznym wzrokiem. Poczula się jak owad. – Dwanaście sztuk złota – zadecydował.

- Dwanaście! – jęknął żeglarz.

- Jedyne, do czego mogę jej użyć, to jako ofiarę do przyciągnięcia bitewnika – Kupiec odwrócił się. – Żadnych targów. Nie potrzebuję jej.

Skierował się w stronę trapu, wracając na molo. Porywacz Lizzy rzucił jej spojrzenie pełne nienawiści, zacisnął pięści jakby myślał o uderzeniu jej, ale zamiast tego pospieszył za odzianym w szatę mężczyzną.

- Dobrze! Dwanaście! Ale to nie jest uczciwa cena!

- To dwa razy więcej niż dostałbyś, gdybyś sprzedał ją do burdelu i ty o tym wiesz – odziany w szatę mężczyzna odwrócił się, żeby rzucić Lizzy ostatnie spojrzenie zanim znów ruszył w swoją stronę. – Przyprowadź ją – rozkazał, machając niedbale w stronę małej grupy służby.

Dwóch mężczyzn i kobieta przeszli po pokładzie statku, wszyscy odziani w krótkie, niebieskie tuniki zrobione z wyjątkowo cienkich tkanin. Mieli nagie nogi, nawet kobieta, a ich skóra była bardzo mocno opalona. Jeden z nich podał żeglarzowi tuzin monet, kiedy pozostali ściągali ciężkie kajdany, jakie nosiła Lizzy, zamieniając je na lżejsze, które miały łańcuch prowadzący do obroży, jaką założyli jej na szyję. Jej porywacz zignorował ją całkowicie, wpatrując się w swoje złoto, sprawdzając każdą monetę zębami w czasie, kiedy Lizzy była odprowadzana. Nigdy nie dowiedziała się jak miał na imię, ani nawet jaka była nazwa statku.

Jej nowi strażnicy prowadzili ją za sobą, kiedy szli podążając za mężczyzną, który ją kupił. Lizzy pozwoliła im ciągnąć się, potykając się na rozgrzanej ziemi nagimi stopami, idąc krótkimi krokami, na jakie pozwalały jej łańcuchy. Łzy płynęły jej po policzkach. Wiedziała, co znaczy być ofiarowaną do przyciągnięcia bitewnika. Zamierzali ją zabić.

Tatusiu! płakała cicho. Ril! Wzywała swoją matkę, czy Loren, czy każdego, kto mógłby ją ocalić. Nikt nie odpowiedział. Nie było sposobu, żeby ją tutaj znaleźli. Umrze w tym miejscu, zamordowana, żeby uwięzić bitewnika.

Lizy łkała w ciszy, wleczona na łańcuchu po molo sięgającym więcej niż milę w głąb oceanu. Kiedyś zadziwiłaby się tym, tak jak płynącym miastem, które rozciągało się przed nią, ale teraz czuła się, jakby już była na wpół martwa i wszystko co pozostało, to ją dobić.

## Rozdział 8

*Południowa Tancerka* poruszała się stale na południe. Wybudowana do przewożenia pasażerów, a nie ładunku, nie miała żagli. Zamiast tego trzy wodne sylfy płynęły pod nią, przenosząc statek dalej i pozostawiając pokład wolny od masztów i lin. Większość z pasażerów było zamożnymi kupcami czy szlachcicami, płynącymi do ciepłych miast na południu w interesach lub dla wypoczynku. Wydawali się przyzwyczajeni do lekkiego życia, w którym spacer wzdłuż balustrady na statku zdawał się zbędnym ćwiczeniem. Tak więc aktywność tych z przodu pokładu była naprawdę dziwna, jeżeli nie zabawna do obserwowania.

Leon ignorował tę widowiskową, przyzwyczajony do tego, że jest obserwowany, kiedy był dowódcą służb bezpieczeństwa w królewskim zamku Eferem. Oczywiście, wtedy obserwatorami byli studenci spragnieni nauki, a nie grupa zniewieściałych mizeraków bez elementarnych odruchów samców. W pogoni za przyjemnością wybrali się w rejs wzdłuż wybrzeża...? Czy nie wiedzieli, że na tych wodach bywają piraci? Czy o tym, że Meridal nie było jedynym królestwem, w którym praktykowano niewolnictwo i o tym, że bez znaczenia jakie składano obietnice, każdy z kontynentu na północy był zagrożony porwaniem? Król Alcor nie lubił umów z nimi, bez znaczenia jak zamożni byli południowcy. To był ten rodzaj paranoi, który Leon popierał. Południe używało sylfów w sposób, o jakim północne królestwa nawet nie śniły.

Ćwiczący naprzeciwko niego Justin był mniej wyluzowany na myśl, że będzie obserwowany. Rozglądał się nerwowo dookoła na widzów, jego ręka trzymająca długi drag, który używał do ćwiczenia walki mieczem, drżała.

- Ignoruj ich – powiedział Leon. – Atakuj mnie.

Chłopak przelknął i rzucił się naprzód, prawie potykając się o swoje własne stopy, kiedy próbował uderzyć końcem swojego kija w brzuch Leona. Leon z łatwością zszedł z drogi i przyłożył swoją własną broń w dół broni Justina, uderzając i wytrącając mu ją z rąk. Młody potknął się i wylądował twarzą na wypolerowanym pokładzie.

Leon miał powiedzieć mu wszystko, co zrobił źle, kiedy słabe, nużące laskotanie w tle jego umysłu zmieniło się w szybkie działanie. Ciężko oddychając Leon obrócił się i uniósł swój fałszywy miecz powstrzymując Rila, zanim ten zdołał uderzyć go w głowę czy w ramię. Oczy bitewnika rozszerzyły się z zaskoczenia, gdy ten nie potrafił pojąć, w jaki sposób został zablokowany. Leon machnął mieczem dookoła, zmuszając Rila do uniesienia ramienia i cofnięcia się sprawiając, że zakolysał się. Nogi załamały się pod nim, bitewnik upadł na plecy i zorientował się, że Leon przyłożył swoją broń do jego gardła.

- Dużo lepiej – wydyszał Leon, jego serce mocno biło. Całe jego ramię zaczynało drętwieć od miejsca, gdzie przyjął uderzenie Rila. Bez względu, czy był to kij, czy też nie, bitewnik mógł stracić mu głowę. – Ale następnym razem nie uderzaj tak mocno. To powinna być kwestia wprawy.

Ril wpatrywał się w niego rozwścieczonym spojrzeniem i Leon mógł poczuć jego upokorzenie. O sześciu lat starał się przekonać bitewnika, żeby nauczył się walki mieczem. Ril nie mógł dalej polegać na swoich mocach, nawet jeżeli sam nie chciał w to uwierzyć. Przez długi czas sylf ignorował sugestie i wydawane mu niemalże wprost polecenia, ale teraz, kiedy zagrożona była Lizzy, w końcu zmienił zdanie. Choć jeszcze nie był w tym za dobry.

Dotarcie do Meridal przy prędkości osiągananej przez tę łódź zabierze im sześć tygodni. Każdego dnia Leon musztrował ich obu, Rila i Justyna, w walce. Justin był niezgrabny i nerwowy, podczas kiedy Ril był zły z innego powodu: poza tym, że był niechętnym uczniem, za bardzo polegał na swojej mocy i prędkości, a za mało na technice. Przede wszystkim walczył jak bitewny sylf. Leon nadal cieszył się, że próbuje. Nie chciał nigdy więcej wydawać rozkazów swojemu bitewnikowi, w rzeczywistości przyrzekł mu, że nigdy tego nie zrobi, ale żeby ocalić swoją córkę, był zdolny do wszystkiego. Ril musiał nauczyć się żyć i walczyć jak człowiek. Jeżeli kiedykolwiek będą zmuszeni do ujawnienia, że jest sylfem, będą mieli najprawdopodobniej tylko jedną okazję.

- Naprawdę nieźle ci poszło - powiedział mu Leon, ale Ril nie słuchał go. Bitewnik stanął na nogi i dumnie idąc przepchnął się przez mrużący tłum. Leon westchnął.

- Nie myślałem, że będziesz zdolny go pobić - powiedział Justin podnosząc się.

- Więc zachowaj to jako myśl - odpowiedział Leon, odwracając się i stając w pozycji do ataku. - Teraz broń się.

Chłopak jęknął i uniósł swój miecz do pierwszego uderzenia. Stęknąwszy cicho Leon dał mu kilka sekund na przygotowanie zanim znów go zaatakował. Mieli tylko kilka tygodni, zanim dotrą do Meridal. Zanim to się stanie, musi zmienić Justina w kogoś, kto nie pozwoli łatwo się zabić.

Justin usunął się z linii ataku takim samym nieskoordynowanym ruchem jak wcześniej i machnął mieczem. Leon, chcąc go ukarać, uderzył chłopaka w pośladki. Justin zaskrzeczał i zatoczył się, a widownia ryknęła zachwyconym śmiechem.

Ril zszedł do pokoju, jaki dostali do dyspozycji, znajdującego się wewnątrz statku. Nie wiedział, ile to kosztowało, chociaż widział, jak Leon płaszczył się w trakcie negocjacji. Nie mieli za wiele pieniędzy. To był pokój bez okien, z narożnymi łózkami przy trzech ścianach. Jego własne było przy ścianie naprzeciw drzwi.

Ril z jękiem opadł na łóżko. Nigdy nie chciał walczyć jak głupi człowiek, ale jaki inny miał wybór niż nauczyć się? Pierwszy raz uczył się o Meridal, kiedy jeździł na ramieniu Leona, zniewolony w postaci sokoła, więc wiedział o obecnych tam bitewnikach równie dużo jak jego mistrz. Patrolują miasta i atakują każdego, kto złamie prawo. Gdyby Ril użył swoich mocy, wyczuliby go i nie mógłby obronić się nawet przed jednym z nich. Mógł ukryć swoją aurę, jak pisklę przed atakującym rojem, a to znaczyło, że musiał nauczyć się władać mieczem, jeżeli chciał zabić tego, kto miał Lizzy. Nienawidził mieczy. Sprawiały, że czuł się słaby.

Przerzucając ramiona ponad głowę zamknął oczy, czując znów kołyszący ruch statku, kiedy wodne sylfy przepychały go przez fale oceanu. Mógł je z łatwością wyczuć i słyszał jak paplały do siebie. Zachowanie ciszy nie było tym, co wymagano od sylfów, zarówno tych przywołanych na dalekiej północy, jak i na południu, więc nigdy nie milkły. Ril nie sypiał dobrze odkąd weszli na statek, przypuszczał też, że gdyby jadł normalne jedzenie, to co chwilka wymiotowałby.

Był teraz cały czas zmęczony, ale nawet mimo tych idiotycznych sylfów paplających cały czas, przynajmniej nie musiał słuchać chrapania tego głupiego chłopaka, ani czuć się, jakby był zanurzony tuż na krawędzi snów Leona. Ril nigdy nie przypuszczał, że wpadnięcie w nie mogło być niebezpieczne, zanim nie zaczął potrzebować snu w każdą cholerną noc, jak jakiś człowiek. Jak na razie nie zanurzył się na tyle, żeby dołączyć do jakiegokolwiek snu swojego mistrza, nawet nie miał zamiaru tego robić.

Odpoczywając przesunął ręce z oczu pod głowę. Oczy nadal miał zamknięte, jego rzęsy drżały, kiedy oddech pogłębiał się. Ril spał i śnił, nawet jeżeli zaprzeczał temu mówiąc sobie, że tam nie zawędruje, tak właśnie było.

Lizzy po tygodniach spędzonych w klatce, w której zazwyczaj trzymano kozy, znalazła się teraz w celi ze ścianami z jasnej cegły. Przód celi był okratowany, co przynajmniej oznaczało, że z jej kostek i nadgarstków ściągnięto łańcuchy. Chociaż pozostawiono obrozę ciężącą dookoła szyi. Cały pokój miał tylko sześć stóp szerokości<sup>5</sup>, ale była to ogromna przestrzeń w porównaniu do tego, co miała wcześniej.

Nie oglądała celi. Zamiast tego skuliła się w kulkę na nędznym łóżku i zacisnęła pięści unosząc je do twarzy. Wydarzyło się tak wiele, że czuła się oszołomiona. Musiała, bo w innym razie jak mogłaby przeżyć cały czas czując tak ogromne przerażenie? Zadrzała wyczerpana, nadal brudna i przerażona. Nikt niczego jej nie wytłumaczył, czuła się w środku pusta.

Kiedy sprowadzoną ją tutaj, widziała tuziny pięt, gdzie pomosty prowadziły do mnóstwa klatek z ludźmi wewnątrz: zmęczonymi, pozbawionymi języków ludźmi, którzy wpatrywali się w nią w ciszy, podczas kiedy sylfy podlatywały wszędzie, wpadały i pily ich energię. Zorientowała się, co się dzieje, wystarczająco często widząc jak jej ojciec karmił Rila. Bitewnik mógł stać tylko z oczami na pół zamkniętymi, wyglądając jakby nic nie robił przez kilka minut, kiedy Leon czekał cierpliwie. Te sylfy tak również robiły, ale ich mistrzowie protestując krzyczeli bezdźwięcznie. Chociaż jak niewolnicy mogli być mistrzami? I dlaczego sylfy idą do następnej celi i do następnej, pijąc z trzech czy czterech różnych więźniów, zanim odlecą?

Nie dbała o to. Lizzy skuliła się jeszcze mocniej, starając się być tak mała, jak to tylko możliwe. Próbowwała myśleć tylko o swoich rodzicach, siostrach i Ril, nawet o Justinie, który

---

<sup>5</sup> ok. 1, 83 metry



porzucił ją i o Loren, której głupota spowodowała to wszystko. Musiała utrzymywać ich w umyśle, albo oszaleje, po prostu to wiedziała.

- Ril – wyszeptala, sennie opadając we wspomnienie tych na wpół przymkniętych oczu i poczucia, że sący coś od jej ojca, biorąc coś, co mogła niemalże poczuć, jakby równie dobrze brał od niej.

Śniąc zorientowała się, że idzie po trawie rosnącej za miasteczkiem w Dolinie, ponad nią było głęboko niebieskie niebo przyozdobione ogromnymi, białymi chmurami, piętrzącymi się jak góry. Czula na skórze zimny powiew zawiewający jej włosy na plecy. W jej stronę szedł Ril, ściągając swój niebiesko- złoty płaszcz i rzucając go na trawę za sobą.

Lizy ruszyła szybciej do przodu, jej palce szarpały się z guzikami bluzki, zmuszając je do przejścia przez dziurki i zrzucając okrycie z ramion, obnażając piersi i brzuch. Ril ściągnął koszulę i odpiął spodnie, nadal idąc z oczami utkwionymi w jej oczach. Lizy opuściła spódnicę i zrobiła krok wychodząc z niej, naga, a potem nagle jego ramiona objęły ją. Przycisnęła się do jego ciepłego ciała, jej ręce sięgnęły, żeby otulić jego twarz i przesunąć przez te blond włosy, które nosił dłuższe z przodu, a krótsze z tyłu. Sapnął pod jej dotykiem, jego usta otwarły się i pochylily, przyciskając się do jej warg.

Lizy zalkała czując go. Na ten dźwięk Ril cofnął się z bólem, jego przerażone oczy patrzyły na nią, zaczął pękać pod jej rękami, jego twarz rozsypała się na tysiące kawalków. Krzyknęła, ale rozpadł się, zamieniając się w dym i błyskawice, tylko, że nie było go na tyle, żeby utrzymać tę postać. Rozwiał się na wietrze, rozpraszając się ponad łąką jak garść pyłu.

Ril obudził się ciężko oddychając. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest i próbował zmienić postać. Nagły ból poraził jego świadomość. Usiadł powoli, krzywiąc się. Teraz mógł poczuć kołysanie statku i usłyszeć niekończące się paplanie wodnych sylfów. Przyłożył dłoń do głowy, ledwie świadomy tego, jak bardzo trzęsie mu się ręka. Zamknął oczy, skupiając się tylko na oddychaniu. Musiał oddychać.

To nie było w porządku, stwierdził. Do tego wszystkiego teraz ma jeszcze koszmary?

Shalatar Misharol szedł w dół korytarza z celami, sprawdzając karmicieli. Było ważne, żeby utrzymać ich w zdrowiu, a on wypracował sobie uznanie cesarza wprowadzając cotygodniowe ćwiczenia i zmianę diety, która sprawiła, że byli najzdrowszymi karmicielami, jak to tylko było możliwe. Odbijało się to w pracy sylfów, którzy żyli ich energią.

To był dobry system. Każdy przywabiony sylf miał podstawowego mistrza, który wydawał mu rozkazy, a poza tym był połączony z pięcioma podmistrzami, mężczyznami i kobietami, którym wycięto języki, aby nie byli w stanie wydać jakiegokolwiek rozkazu. Żeby jeszcze ubezpieczyć się, sylfy miały jasne rozkazy, nakazujące im ignorowanie każdej próby komunikacji ze strony karmicieli, bez znaczenia jakakolwiek by była i zaraportowaniu jej

najbliższemu trenerowi. Karmiciele nauczyli się szybko, że każdy z nich, który tego próbował, skazany był na śmierć. Istnieli tylko po to, żeby dostarczać energię swoim sylfom, a mając dostęp do takiej ilości energii, każdy sylf, nawet najmłodszy i najslabszy, mógł dokonać cudów, na które północne sylfy potrzebowałyby dwukrotnie więcej czasu, skoro był połączony tylko z jednym mistrzem.

Shalatar traktował swoje obowiązki bardzo poważnie. Sylfy były podstawą cesarstwa, ciężko pracowały. Miasta cesarstwa całkowicie unosiły się w powietrzu, tylko tysiące sylfów powietrznych było w stanie je unieść. Oczywiście, inne służyły innym celom. Dziewięćdziesiąt procent Meridal stanowiły miasta, pozostałe dziesięć musiały wyprodukować żywność, potrzebną do nakarmienia ludności, bez względu na to jak uboga była pustynna ziemia. Pięć tysięcy sylfów oznaczało dwadzieścia pięć tysięcy karmicieli. Sama ta stajnia służyła dwóm tysiącom sylfów, a Shalatar był odpowiedzialny za zdrowie i szczęście każdego z nich.

Był pierwszym, który przyznał, że zdrowie karmicieli robi różnicę. Ich szczęście to była zupełnie inna sprawa. Każdy miał swoją celę, cele były dokładnie czyszczone, ale poza cotygodniowymi spacerami po strzeżonym dziedzińcu, nigdy nie opuszczali więzienia. Mężczyźni i kobiety wpatrywali się w niego znudzeni, kiedy ich mijal. Większość z nich nawet nie poświęcała mu odrobiny uwagi. Ich cele były pogrążone w całkowitym milczeniu, wyjąwszy szuranie stóp, lub odgłosy nadchodzących sylfów przybywających w regularnych odstępach czasu, żeby uzupełnić swoją energię.

Chociaż sprawdzał stajnię tylko wrywkowo, najczęściej nie znajdował nic, poza dobrymi wynikami. Czyści karmiciele, czysta woda, czyste klatki. Zobaczył jednego mężczyznę drapiącego się po policzku i zapisał sobie notkę, żeby go ogolić. Inny drgał w spazmach, ślina wypływała z jego ust. To nie było dobre. Szalony karmiciel oznaczał niedobrą energię dla sylfa. Następna notka na liście, karmiciel musi być zlikwidowany. Był łatwiejszy do zastąpienia niż dobrze wytrenowany sylf.

Za celami karmicieli, ulokowanymi daleko pod miastem, gdzie było łatwiej utrzymać je w chłodzie, były cele ofiar. Shalatar nie miał nic wspólnego z tą częścią działalności, nie zajmował się żadnymi głupstwami związanymi z bitewnikami, poza karmieniem ich, ale jego bliźniacza siostra tak. Przyszedł tutaj, żeby ją odnaleźć.

Chowając tabliczkę pod ramię, Shalatar szedł w dół rzędu klatek, w których trzymane były kobiety. Wszystkie były piękne, ale w jakiś sposób zepsute. Były wystarczająco dobre, żeby znieść bitewnika, ale nie dość dobre, żeby dołączyć do haremu. Poza tymi, które spędziły jakiś czas w haremie i teraz miały zostać zlikwidowane. Tak się działo, kiedy bitewnicy ignorowali je, lub jeden z nich wyjątkowo się którąś interesował. Jeżeli jakkolwiek bitewnik zaczynał łączyć się jedynie z jedną kobietą, był czas, żeby pozbyć się jej, zanim zacznie skupiać na niej więcej uwagi, niż wymaga tego powinność. Harem był po to, żeby utrzymać sylfy szczęśliwymi, nie leniwymi.

Kiedy Shalatar mijal je, kobiety wpatrywały się w niego ze strachem, lub błagały go, żeby je puścił, lub pozwolił powrócić do haremu. Ignorował je wszystkie.

Jeżeli kobieta nie kończy jako ofiara, mogłaby być sprzedana do innego miasta, jeżeli ktokolwiek chciałby kupić kobietę, która była wykorzystywana przez bitewników, lub zmieniona w karmicielkę, przez usunięcie języka. To było wszystko, do czego się nadawały, to było ich przeznaczenie. Kiedy kobieta łączyła się z bitewnikiem, nie mogła być wykorzystana jako ofiara, żeby przyciągnąć nowego. W jakiś sposób bitewnicy wiedzieli i rzadko przychodzili do byłych kochanek. Oczywiście żaden bitewnik nie miał dozwolone karmić się od kobiety, tylko pieprzyć je. Kiedyś, kobietom, które stały się bezużyteczne dla haremu, podrywano gardła, ale to wydawało się smucić niektórych bitewników. Nie można było również wykorzystać kobiet dla sportu na arenie gladiatorów. To doprowadzało bitewników do szaleństwa. Nie, mogły być tylko wykorzystane jako karmicielki dla sylfów elementarnych... co oznaczało stratę dochodów dla sekcji bitewników. To był taki logistyczny ból głowy, że nie zazdrościł siostrze.

Oczywiście radziła sobie dobrze, tak jak dobrze radziła sobie z bitewnikami. Podczas kiedy ich mistrzowie byli mężczyznami, Rashala była słynna z kobiecej wrażliwości, która pomagała, kiedy bitewnicy przychodzili do haremu. Mogła uspokoić najbardziej oburzonego bitewnika dotykiem i słowem.

Shalataz odnalazł siostrę w sekcji kwarantanny dla nowych kobiet. Klatki były utrzymywane w idealnej czystości, ale zawsze była jakaś szansa na wystąpienie chorób, a pomysł wykorzystywania uzdrowicielskich sylfów do leczenia niewolników był niedorzeczny. Jedyne wyjątki zdarzały się na arenie, w razie gdyby walczący był wyjątkowo mężny, czy zasłużył na pochwałę od cesarza, lub gdyby sylf został w jakiś sposób ranny, co zdarzało się czasami, chociaż rzadko. Raz czy dwa Shalatar wykorzystał uzdrowicielkę do uleczenia jego bólów brzucha, które jednak zawsze powracały, kiedy stawał się zdenerwowany. Nie mógł wyobrazić sobie wzywania jej, kiedy zwykła kwarantanna mogła wystarczyć na powstrzymanie wszelkich chorób.

Rashala stała na korytarzu, ponad zagrodą, patrząc w dół. Podobnie jak on, siostra Shalatar golila włosy, żeby pokazać swój status, jako niewolnicy, wyniesionej z tej pozycji przez osiągnięcia w pracy. Jej zalety dały Shaltarowi szansę na pokazanie swoich własnych, jako jej bratu, co było dobrodziejstwem, jakiego nigdy nie będzie w stanie spłacić. Wargi Rashali, były podkolorowane sokiem z jagód, stały się mocno purpurowe, a jej szata była w podobnym kolorze jak jego własna.

Shalatar podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu.

- Co robisz, moja siostrze? – zapytał – Mieliśmy iść na lunch.

- Bakl kupił nową niewolnicę – odrzekła i wskazała. Shalatar spojrzal w dół na szczupłą, brudną dziewczynę z włosami jak słoma i uniósł brew. – Staram się zdecydować, czy jest warta umieszczenia w haremie.

Zrobił minę. Dziewczyna była prawie biała, bez złotego odcienia skóry.

- Osiemdziesiąt Dziewięć polubi ją. Powiedziałaś mi, że szuka czegoś wyjątkowego.

- To prawda, ale potem dręczy je. Ta dziewczyna z tatuażami na całym ciele...? – Rashala potrząsnęła głową z żalem. – Ledwie ją od niego oderwaliśmy, a potem, kiedy musieliśmy sprzedać ją do innego królestwa, próbował ją zatrzymać. Zabił trzech ludzi. Nie chcę, żeby to się powtórzyło.

- Więc przeznacz ją na ofiarę.

- Będę musiała. Ale Bakl zapłacił za nią dwanaście sztuk złota. Idiota myślał, że robi dobry interes, z powodu jej złotych włosów. Sprzedawca chciał dziesięć razy więcej.

- Sprzedawcy zawsze chcą więcej – Shalatar odwrócił się. – Zostaw to na razie. Jestem głodny. Możesz opowiedzieć mi o tym po obiedzie.

Jego siostra była rozsądna, więc wyszli, ale wcześniej Rashala zanotowała na swojej tabliczce: złotowłosa dziewczyna będzie zabita na oltarzu przy następnej ofierze. To lepsze niż umieszczanie jej w haremie, gdzie Osiemdziesiąt Dziewięć zadecyduje, że jest ona miłością jego życia. To przysporzyłoby więcej kłopotów niż było warte.

Opuszczając zagrody pod latającym miastem, przeszli skrótem obok cel, w których siedzieli niewolnicy i przestępcy przeznaczeni na arenę gladiatorów. Większość z ich wyglądała posępnie, chociaż nadal mieli swoje języki i ostatnią szansę na chwilę chwały. Nie żeby kiedykolwiek mieli ją osiągnąć. Nie kiedy ich przeciwnikami na arenie byli bitewnicy.

## Rozdział 9

Pchana naprzód przez trójkę wodnych sylfów, *Południowa Tancerka* kierowała się wzdłuż wybrzeża, zatrzymując się przy siedmiu nabrzeżach coraz gorętszych miast, zanim zawróciła w końcu na głębsze wody, przepychając się pod prąd w stronę odleglejszego brzegu. Żeby upewnić się, że są na dobrej drodze, na każdym przystanku Ril stawał przed statkiem w pełnym skupieniu. Za każdym razem kręcił głową, że nie. Kiedy statek oddalił się zupełnie od brzegu, tracąc go z zasięgu wzroku, Justin obawiał się, że oddalają się całkowicie od Lizzy, ale Bitewnik tak nie uważał. Gdziekolwiek była Lizzy, przysięgał, że kierują się we właściwym kierunku.

- Skąd może wiedzieć? – któregoś dnia zapytał Justin Leona. Zebrali się na lunch przy stole dla pasażerów. Ril po prostu podtrzymywał iluzję. Stał na dziobie statku, pozornie jedząc, kiedy obserwował fale rozbijające się o statek, ale naprawdę rzucając jedzenie łyżką w dół, karmiąc ryby.

- Co wiedzieć? – zapytał Leon.

- Gdzie jest Lizzy.

Leon wzruszył ramionami i wziął łyk wina.

- Nie wiem.

- Dlaczego go nie zapytasz? – zapytał Justin, trochę zdezorientowany. Gdyby to chodziło o niego, zażądałby po prostu odpowiedzi.

- Ponieważ gdyby chciał, żebym wiedział, powiedziałby mi sam.

- Ale on jest twoim b... - Justin przerwał i zarumienił się, widząc wyraz twarzy starszego mężczyzny. – Jest twój. Nie musi ci powiedzieć?

- Nie. Nie jest niewolnikiem. Jeżeli może znaleźć moją córkę, nie dbam o to, jak to zrobi.

Justin westchnął, wracając do swojego posiłku. Chciał wiedzieć wszystko, co wiedział bitewnik, ale Ril go przerażał. Tak jak i inni bitewnicy, ale pozostałych mógł unikać. Rila nie. Za każdym razem, kiedy przychodził do domu Lizzy, sylf wydawał się być tam, obserwując. Nic nie mówił, Justinowi wydawało się, że nigdy nawet nie przywitał się z bitewnikiem, ale wiedział, że ta istota go nie lubi. Doprowadzało to Justina do szaleństwa. Był zmęczony przybywaniem z kimś, kto samym spojrzeniem mógł sprawić, że się zmoczy i zawsze życzył sobie, żeby Ril po prostu odszedł. Miał nawet kilka fantazji o wyzwaniu bitewnika do walki i pobiciu go, oczywiście przy obserwującej z uwielbieniem Lizzy. Takie myśli byłyby samobójstwem przy innych bitewnikach, ale Ril był kaleką. Dobry bokser mógłby go pobić, czego dowiódł Leon kopiąc go po prostu w tyłek. Justin musiał gryźć się w język, żeby nie żartować na ten temat.

Leon wpatrywał się w niego i Justin zaczerwienił się, spuszczać wzrok w dół na swój talerz. Chciał, żeby ten mężczyzna był jego teściem. Zraniłoby go, gdyby wiedział, jak bardzo Justin chce upokorzyć jego bitewnika.

Starszy mężczyzna obserwował najpierw jego, a potem Rila, który skończył opróżnić talerz, a teraz znów pochylił się nad balustradą wpatrując się w pusty horyzont. Leon odwrócił się z powrotem do Justina.

- Zostaw go w spokoju.

- Sir?

- Po prostu zostaw go w spokoju – Leon dokończył swoje wino. – Nie popełnij błędu uważając, że jest słaby.

Justin zaczerwienił się.

- Ja nigdy nie...

- Ty tak. Jestem tego pewien. Tak jak i on. Powiedziałeś, że chcesz poślubić moją córkę? Zanim dam ci jakiegokolwiek błogosławieństwo, lepiej udowodnij, że jesteś wystarczająco mężczyzną jak dla niej – potem Leon wstał i odszedł, zabierając swój talerz i szklanę.

Ril odwrócił się, wpatrując się w Justina, ale w końcu podążył za swoim mistrzem. Kiedy mijał stół, spojrzął w dół na Justina, a jego wargi uniosły się i bezdźwięcznie warknął. Policzki Justina zaczerwieniły się. Zrobi to, co powiedział Leon. Postara się. Ale to nie powstrzyma go od nienawidzenia bitewnika tak bardzo, jak ten go przerażał.

Leon zapisał w księgach statku obu, Justina i Rila, jako swoich synów. Justin był na tyle młody, a Ril wyglądał na wystarczająco młodego, nawet jeżeli był starszy o całe wieki. Żaden z nich naprawdę nie był podobny do pozostałych, ale przynajmniej Ril miał piaskowo blond włosy Leona, a Justin jakimś cudem miał podobny nos. Leon dwukrotnie w ciągu dnia zabierał Rila do swojego pokoju i zastanawiał się, w jak wiele kłamstw wierzą pasażerowie i co naprawdę myślą, że się dzieje. Wątpił, żeby mieli jakiegokolwiek pojęcie prawdy.

Teraz stał w swojej kabinie, plecami oparty o drzwi. Ril przed nim, jedną ręką podparty o ścianę za głową Leona, drugą rękę położył na karku swojego mistrza. Nie często zdarzało się, żeby bitewnik go dotykał. Nie dotykał nikogo, jeżeli tylko mógł tego uniknąć, poza dziewczynkami Leona, ale jego ręka była teraz ciepła i rozluźniona. Jego oczy były na wpół przymknięte, nieskupione, jego oddech wolny, pożywiał się pochłaniając energię Leona, wyzwalał naturalną energię życia. Leon nigdy tak naprawdę nie pytał, ale Ril kiedyś wspominał, że jego energia jest jak gęsta, ciepła mgielka, wychodząca ze skóry jego mistrza. Po dwudziestu jeden latach Leon mógł poczuć osuszanie. Większość mistrzów nie mogła, nawet Solie, ale Leon zawsze był zafascynowany intymnością, jaka łączyła ich z Rilem, dowodem, że jest na tym świecie istota, która zawsze go potrzebuje.

Stając tutaj, Leon rozluźnił się. Pożywanie się Rila odczuwał jak światło przesuwające się po włoskach na jego ramieniu, ledwie wyczuwalne, ale niezaprzeczalne. Poza Solie, tylko jego energię Ril mógł przetrwać, czy wchłonąć, jakiegokolwiek nie użyć by terminu. Reszta świata była dla niego trująca, chyba, że przyswoi sobie wzór energii jakiegoś innego człowieka. To dlatego zanim opuścili Dolinę, Leon zasugerował Rilowi, żeby przyswoił sobie wzór energii Justina, jako zabezpieczenie. Mace mógł bez problemu zrobić to za pośrednictwem Solie, nawet kapłani Petra mogli to zrobić. Gdyby Leon zginął, a nie mógł zlekceważyć takiej możliwości, Ril szybko umarłby z głodu. Ril po prostu zawarzał. To nie chodziło tylko o energię, Leon o tym wiedział. Chociaż więź była łatwa do zawiązania, była równocześnie niezniszczalna i sylfy były zmuszone do podporządkowania się ludziom, których wzory posiadały. Nie mieli wyboru. Ril gardził Justinem, a sądząc ze spojrzenia, jakie Justin rzucił mu przy stole, udzielenie mocy do rozkazywania bitewnikowi byłoby błędem.

Leon zastanowił się nad swoim wyglądającym na człowieka bitewnikiem. Nawet gdyby zginął, spodziewał się, że Ril nie mógłby wziąć nowego mistrza. Sam wprawdzie zginąłby. Co było następnym powodem, żeby pozostać przy życiu, powiedział sobie- dla jego córki i przybranego syna. I dla Justina, którego zabrał tylko z poczucia winy. Czy jego córka była zakochana w tym chłopaku? Miał nadzieję, że tak. Dla jej szczęścia miał nadzieję, że naprawdę tak jest.

Ril wziął głęboki wdech, zasysając po raz ostatni, co załaskotało Leona wzdłuż całego ramienia. Chwilę później sylf otworzył oczy, wpatrując się w swojego mistrza. Jego tęczęwki były jasnoszare, jak skrawki lodu pod pochmurnym niebem, niechronione, jak zawsze kiedy karmił się. Leon widział w ten sposób duszę bitewnika, nawet wtedy, kiedy Ril był uwięziony w ciele ptaka i nienawidził go za to. Nigdy nie powiedział o tym Rilowi, ze strachu, że sylf nigdy więcej na niego nie spojrzy w podobnej chwili.

Oczy jego bitewnika były zmartwione, nawet przerażone, było to desperackie zachowanie, chociaż pokryte beznadzieją. Była tam rozpacz głęboka i prawie obezwładniająca. Ten widok łamał serce.

- Co się stało? – Wyszepiał Leon.

Na przekór sobie, Ril chciał mu powiedzieć jeszcze wtedy, kiedy się pożywał. Teraz nie było inaczej.

- Lizzy. Mogłem ją wyczuć. Była tak przerażona, mogłem poczuć ją nawet tutaj. Myślała, że umrze.

Leon poczuł napływające zimno.

- Ona nie...

- Nie – Ril odepchnął się od ściany, podszedł i usiadł na swoim łóżku, wpatrując się w twardą poduszkę. – Jej strach jest mniejszy. A przynajmniej nie mogę go już wyczuć. Cokolwiek się stało, przetrwała to.

Leon poczuł, jak jego przerażenie opada, zastąpione równocześnie przez ulgę i zaniepokojenie. Justin przed chwilą zadał pytanie, w jaki sposób Ril może ją śledzić? Nie powinien. Żaden z pozostałych bitewników nie mógł, ale Ril natychmiast dokładnie wskazał jej położenie. Mimo wszystko, zważywszy na jego rany, powinien mieć mniejsze zdolności do odnalezienia jej. A mimo to...

Lizzy nie może być jego mistrzynią, nieprawdaż? Nie może. Wiedziałby o tym, prawda? Ril nie traktował Lizzy inaczej niż pozostałych córek Leona. W rzeczywistości był bardziej skoncentrowany na młodszych. Lizzy poświęcał najmniej uwagi. Nie byłoby tak, gdyby Lizzy była jego mistrzynią. W rzeczywistości, patrząc na to, jak reagują bitewnicy na mistrzynię...

Leon zmarszczył brwi myśląc. Jednego mógł być pewien, Ril nie spał z jego córką, ani też z nikim innym. Słyszał żarty i wiedział, że były prawdziwe: Ril po zranieniu prawie wcale nie interesował się kobietami. Leon bolał nad tym, ale to nie znaczyło, że chciał, żeby jego córka związała się z bitewnym sylfem. Zasługiwała na dzieci, rodzinę i męża, który myślałby i czuł w taki sposób jak ona. Mimo iż Leon bardzo kochał Rila, jego sylf nie mógł spełnić żadnego z tych warunków. Zasługiwała na człowieka.

Więc jego zdolność wyśledzenia jej musiała mieć coś wspólnego z tym, że Lizzy była córką Leona. Może Ril mógł śledzić wszystkie jego dzieci przez jego krew.

Sylf szarpnął się i spojrzał na niego. Znowu panował nad wyrazem swoich oczu, Leon skinął głową. Właśnie tak było, połączenie przez krew. On i pozostali nadal tak niewiele wiedzieli o sylfach. Nawet same sylfy wydawały się niewiele wiedzieć. Po prostu akceptowali i działali instynktownie. Ludzie potrzebują wytłumaczeń.

- Wiesz, co jej się stało? – zapytał.

- Nie – odrzekł Ril. – Tylko tyle, że spodziewała się zginąć, ale tak się nie stało.

Leon westchnął.

- Przynajmniej żyje. Możesz wyczuć, co teraz się z nią dzieje?

- Nie.

Leon podszedł bliżej, wyciągając rękę, żeby przesunąć ją przez miękkie włosy bitewnika. Ril spojrzał w górę w milczeniu.

- Spróbuj – powiedział Leon, jego uczucia były pomieszane. Chciał pocieszyć i ośmielić, ale nie zorientował się, że nieumyślnie wydał rozkaz.

Przerażenie Lizzy był bardzo rzeczywiste i obezwładniające. Leżała naga z rozłożonymi rękami na kamiennym stole ciemnym od krwi, w ustach miała knebel, a jej nogi i ręce były związane. Mężczyzna stał nad nią z zakrzywionym nożem, wystarczająco ostrym, żeby odciąć jej głowę. Ponad nimi lśniły wrota.



Wiedzieli, że był tam bitewnik, węszący po drugiej stronie, tak powiedziane było przez uzdrowicielskiego sylfa, który nie wyglądał na skłonnego żeby ocalić Lizzy, nawet jeżeli odciąłby jej głowę. Była tak przerażona, że wrzeszczała w umyśle, płacząc za matką, ojcem, Rilem, Justinem czy kimkolwiek. Ubrudziła się, a jej serce waliło, jakby miało pęknąć i oszczędzić jej tego wszystkiego.

Pomimo tego nic się nie wydarzyło. Bitewnik okrążył wrota, a ona poczuła, że patrzy na nią, ale nie przeszedł. Obserwował ją przez chwilę, w końcu zniknął, pozostawiając mężczyznę, który miał nadzieję związać go, krzyczącego na kapłanów, którzy odprawiali ceremonię. Najwyraźniej to nie miało się zdarzyć.

Ostatecznie mężczyzna wyszedł, nadal przeklinając, tak jak i kapłani. W końcu Lizzy została rozwiązana i wróciła do celi, rzucono jej do ubrania prostą bawełnianą szatę i zostawiono samą. Upadała oszołomiona trzęsąc się. Możliwe że zemdląła na chwilę, lub straciła poczucie czasu, bo kiedy ocknęła się, kobieta nie mająca na głowie włosów ani brwi stała na zewnątrz jej celi patrząc i rozmawiając z muskularną kobietą po jej stronie.

- Nie ma sensu umieszczać jej tutaj i znów składać w ofierze – bezwłosa kobieta skrzywiła się, patrząc się na Lizzy, jakby ta naraziła ją na okropne nieprzyjemności.

- Chcesz wysłać ją do zagród karmicieli? – zapytała druga kobieta.

Pierwsza skrzywiła się jeszcze bardziej.

- Wtedy będzie dla mnie całkowicie bezużyteczna. Nadal chcę odzyskać swoje dwanaście sztuk złota – lysa kobieta odwróciła się. – Umieść ją w haremie.

- Tak, mistrzyni.

Kiedy druga kobieta płaszczyła się, kłaniając się nisko, lysa kobieta spojrziała na Lizzy po raz ostatni, zanim wyszła. Lizzy cofnęła się do kąta, zastanawiając się, co teraz z nią się stanie.

Oczyścili ją. Lizzy została umyta, kiedy jej wyrok śmierci został uchylony, ale teraz została wykąpana w perfumowanej wodzie, jej włosy wymyto szamponem i uczesano, zanim skrzywiły się w loki na całej głowie. Służące, które to robiły, cmokały nad odcieniem jej skóry i spędziły godziny, szarpiąc się ze światłem, żeby dobrać dla niej idealny makijaż. Potem została ubrana w suknię wykonaną z nieznanego jej materiału, który był jasnozielony i całkowicie prześwitujący.

Nie potrzeba żadnego makijażu, zdecydowała. Była zbyt czerwona na twarzy, żeby mógł być użyty którykolwiek z tych, jakie jej pokazano.

- Chyba żartujecie – oddychała z trudem, spoglądając na swoje odbicie w lustrze na ścianie. Próbowwała się okryć, ale nosiła cienkie łańcuchy na nadgarstkach, a strażniczki przypięły jej ręce z daleka od ciała.

- Jest za chuda – zdecydowała kobieta, która kierowała jej przemianą. Druga kobieta, która trzymała łańcuchy i jej ręce z daleka od ciała, zachichotała zgadzając się. Lizzy zamknęła oczy nie chcąc patrzeć jak wyśmiewają się z niej.

- Jesteś dziewicą? Dziewczyno! – Oczy Lizzy otwarły się po nagłym uderzeniu w policzek. – Jesteś dziewicą?

- T-tak.

- Przynajmniej to im się spodoba – westchnęła kobieta. – Jeżeli Osiemdziesiąt Dziewięć przyjdzie po nią pierwszy, wtedy jednak odciągniemy ją. Nie chcę, żeby zabił następną dziewczynę.

- Nie możecie tego zrobić – sapnęła Lizzy. Zaczęły ciągnąć ją naprzód, a ona opierała się, próbując zapierać się nagimi stopami o śliską podłogę. – Nie chcę iść.

- Zamknij się, dziewczyno – parsknęła kobieta. – Jedynym powodem, dla którego zachowałam język, jest to, że niektórzy bitownicy lubią krzyki.

Lizzy walczyła z nimi przez całą drogę w dół korytarza i w górę kilku schodów. Nie było tu okien, ale światło dochodziło skądś, lśniąc przez otwory w suficie. Podłoga i ściany były w tym samym jasnym kolorze glinianych cegieł, ale drzwi przed nimi były z hebanu, bogato rzeźbione. Strzegły ich dwie kobiety z włóczniami. To zniweczyło jakiegokolwiek nadzieje Lizzy na wydostanie się stąd. Każda z pięciu kobiet wyglądała na silniejszą niż ona, a nie było widać nigdzie wyjścia poza tym, którym weszła.

Pomimo jej szamotaniny wystarczyło, żeby trzymała ją jedna, podczas kiedy pozostałe otworzyły drzwi. Zza drzwi doszły ją krzyki i zapach perfum.

- Och, bogowie - wyszeptła Lizzy tuż przed tym, zanim pchnęły ją do środka.

Ogromny pokój był pięknie oświetlony i ozdobiony, na podtrzymywanym przez kolumny suficie udrapowany był przeźroczysty jedwab. Podłoga była pokryta poduszkami, na wielu z nich leżały kobiety ubrane nie lepiej niż Lizzy, o ile w ogóle były ubrane. Pozostałe tańczyły, lub grały na instrumentach. Pokój był szeroki na pięćdziesiąt stóp<sup>6</sup>, długi na setki stóp, rozciągający się daleko. Mniejsze drzwi widniały daleko, na odległym, przeciwstawnym końcu.

Długie ściany miały tuziny mniejszych bram, pokrytych przeźroczystymi zasłonami. Zza wielu z nich dochodziły jęki, a tuż na środku pokoju, przerażona, zobaczyła mężczyznę biorącego kobietę, klęczącą i podpartą na kolanach. Mężczyzna wysoko unosił pośladki i pompował w nią szaleńczo. Lizzy stała się nawet jeszcze czerwieńsza niż była wcześniej i wydała z siebie zduszony jęk.

---

<sup>6</sup> 15,24 metra

- Witamy w dom rozpusty dla bitewników – zaśmiała się jedna ze strażniczek, odpinając jej łańcuchy. Pchnęła, kładąc rękę na plecach Lizzy. Lizzy wpadła do pokoju, upadając na podłogę. Drzwi zatrzasnęły się za nią.

Bitewnik na środku natychmiast spojrzal na nią nie przerywając tego, co robił, Lizzy nie była w stanie wymyśleć wystarczająco wulgarnego określenia na jego zachowanie. Był wielki i pękaty, jego skóra miała oliwkowy odcień, a jego nogi wyginały się do tyłu od kolan, stopy i ręce miał długie i zakończone szponami. Oczy i nos były normalne, ale jego podbródek był absurdalnie długi i nie miał ust. Był cały nagi. Na piersi miał wytatuowany numer 408.

Cztery-Zero-Osiem spojrzal na nią niepewnie, potem w dół na kobietę w której był. Potem z powrotem na nią, jakby próbował zdecydować, czy ma skończyć, czy przerwać.

Lizzy wygramoliła się na nogi i uciekła do najbliższej ściany, trafiając prosto na jedno z wejść i wpadając do alkowy, gdzie zobaczyła innego bitewnika z leżącą pod nim kobietą. Sapnął na Lizzy serdecznie, ale tak naprawdę nie był zainteresowany, a ona cofnęła się, uciekając i przesuając się cały czas wzdłuż dłuższej ściany głównego pokoju.

Komnata była prawie trzy razy większa od rynku w ich miasteczku, wystarczająco wielka, żeby setka lub nawet więcej kobiet, a wydawało się jej, że tyle tu było, miało wystarczająco miejsca żeby rozłożyć się, lub szukać odosobnienia w rogu z którymkolwiek bitewnikiem, który okazał zainteresowanie. Wydawało się, że nigdzie nie ma schronienia od bitewników, chociaż było tam też siedem łazienek. Łazienka była umiejscowiona co dziesiątą alkową i Lizzy szybko zamknęła się w jednej z nich.

Dobiegło pukanie do drzwi.

- Zamierzasz wyjść? – zapytał kobiecy głos.

- Nie – sapnęła Lizzy. Wiedziała, jakie bitewnicy mają podejście do seksu. Nie było możliwości, żeby stąd wyszła.

Kobiecy głos westchnął.

- Słuchaj, jeżeli tutaj zostaniesz, strażniczki wyciągną cię na zewnątrz, a być karmicielem to dużo gorsze. Poza tym, to jedyna łazienka, w której prysznic jest naprawdę gorący, w pozostałych jest ledwo ciepławy.

- Nie wyjdę stąd – powiedziała Lizzy.

- Zamiast tego zrobią z ciebie karmiciela.

- Czym są karmiciele?

- Pozbawieni języków niewolnicy, którzy spędzają całe życie będąc wysysanym z energii przez sylfy. A tutaj przynajmniej możemy mówić.

Lizzy zadrżała i powoli wyciągnęła rękę i otworzyła drzwi. Na zewnątrz stała starsza od niej kobieta z długimi czarnymi włosami i opaloną skórą, spoglądająca na nią z ciekawością. Była ubrana w przeźroczystą, jedwabną szatę, nawet bardziej przeźroczystą niż ta Lizzy.

- Jakie dziwaczne włosy – powiedziała.

- Czy jest bezpiecznie? – wyszeptła Lizzy, rozglądając się dookoła. Niedaleko grupa kobiet grała w karty, co wydawało jej się dziwaczne, ale zasłony dookoła pobliskiej alkowy trzęsły się i mogła usłyszeć histeryczny krzyk kobiety dobiegający z drugiej strony. – Czy wszystko w porządku?

Czarnowłosa kobieta spojrzała przez ramię.

- Z kim? Z Ap? Pewnie. Ona zawsze krzyczy w ten sposób. Bitownicy uwielbiają to. A ona jest tutaj dłużej niż ktokolwiek – kobieta znów spojrzała na Lizzy. – Mam na imię Eapha. A ty?

- Lizzy. Czy jest jakiś sposób żeby się stąd wydostać?

- Nie. Jest tylko jedno wejście, a bitownicy wchodzą przez wejście w suficie. Ludzie przez tamto wejście nie mogą się przedostać. Znam parę dziewcząt, które próbowały – Eapha przesunęła rękami przez włosy. – Słuchaj, możesz przyzwyczaić się do takiego życia. Bitownicy są fantastycznymi kochankami.

Lizzy słyszała to przez ostatnie sześć lat swojego życia. Nie dbała o to.

- Nie chcę! – zapłakała, a pozostałe kobiety zacmokały współczująco, chociaż kilka z nich zaśmiało się.

- To nie ma znaczenia – powiedziała jej Eapha. – Nawet jeżeli chcesz powiedzieć nie, rozleją w twoją stronę tak wiele pożądania, że stracisz kontrolę. Zaufaj mi. To wsiąka w twoje kości. Po pierwszym razie będziesz się zastanawiała, czemu wcześniej się obawiałaś.

Lizzy potrząsnęła głową, cofając się. To było szalone. Nie chciała spędzić reszty życia, jako pewnego rodzaju seks zabawka, która ma na celu utrzymać grupę bitowników szczęśliwymi.

Za Eaphą krzyki Ap w końcu ucichły, przechodząc w zaspokojony jęk. Kotary poruszyły się i wyszedł następny bitownik. Miał postać dokładnie taką, jak dwaj pozostali, oliwkową skórę i zginające się do tyłu nogi. Najdziwniejsza ze wszystkiego była bezusta twarz. Wyszedł, jego erekcja kołysała się przed nim. Na piersi miał wytatuowany numer 391. Spojrzał przelotnie w ich kierunku, potem przeszedł przez całą długość pokoju, aż klepnął kiwającą na niego palcem kobietę, która poszła do alkowy. Trzy-Dziewieć-Jeden podążył za nią.

- Zazwyczaj potrzebuje dwóch, albo trzech – powiedziała Eapha Lizzy. – Nie dowiedziałabyś się tego od Ap, ale jest bardzo delikatny. Większość z nich takimi jest.

Lizzy zauważyła sposób, w jaki podkreśliła słowo „większość”.

- I to wszystko co tu robią? – zapytała nieszczęśliwie.

- Pewnie. Przychodzą tutaj, żeby się odprężyć. Naszym zadaniem jest utrzymywanie ich w szczęściu – Eapha westchnęła i wzięła Lizzy za rękę. – Chodź – kiedy Lizzy uchyliła się, obawiając się, gdzie ta ją zaprowadzi, kobieta uśmiechnęła się. – Nie zamierzam zaciągnąć cię do jednego z nich.

Lizzy niechętnie pozwoliła się prowadzić. Eapha poprowadziła ją obok alkowy, w której zniknął Trzy-Dziewięć-Jeden, na odległy koniec korytarza, mijając roztargnionych bitewników obserwujących trzy tańczące kobiety. Ku swojemu przerażeniu naliczyła piętnaście istot.

- Jak wielu jest ich tutaj?

- Bitewników? Setki. Widziałas numery na ich piersiach. Wydaje mi się, że najwyższy numer jaki widziałam to siedemset dwa.

- A jak wiele jest kobiet?

- Wiele. Tutaj jest około stu, a są jeszcze dwa, czy trzy haremy w których nigdy nie byłam. Bitewnicy są dopuszczeni tylko do jednego haremu. Dziela się nami, ale nie lubią tego.

- Więc może nie będę musiała sypiać z żadnym, jeżeli jest nas tu setka do wyboru – Lizzy poczuła przypływ nadziei.

Eapha spojrzała na nią ze współczuciem.

- Nie rób sobie nadziei. Przeciętnie odwiedzają pięć kobiet. Ale widziałam kilku, którzy wybierają sobie spośród dwudziestu, a nawet więcej.

Lizzy znów poczuła się źle.

- Jesteśmy – Eapha otworzyła wyglądające normalnie drzwi z tyłu komnaty i wprowadziła Lizzy do spartańsko wyglądającego pokoju wypełnionego rzędami trzypiętrowych łóżek. – Strażniczki sprawdzają, czy nikt się tutaj nie ukrywa, ale bitewnicy zazwyczaj nie wchodzi tutaj. To tu śpimy, chociaż jeżeli którejś nie ma na zewnątrz, bitewnicy przychodzą nas tu szukać. I tak nie ma wystarczająco łóżek dla nas wszystkich naraz. Może spróbujesz się zdrzemnąć?

Lizzy skierowała się do jednego z niezajętych posłań, drżąc z wyczerpania nerwowego. Nie zdołała nawet powiedzieć dziękuję, zanim wpełzła na nie, owijając się drapiącym kocem i kładąc głowę na poduszkę. Zasnęła w sekundę.

Eapha potrząsnęła głową i skierowała się do wyjścia. Wiedziała jak czuje się Lizzy. Nie minęło wiele czasu, kiedy sama była przerażoną nowoprzybyłą. Chociaż szybko przystosowała się. Pewnie z nową dziewczyną będzie tak samo.

## Rozdział 10

Dolina Sylfów obchodziła Święto Plonów od czasu, kiedy założono miasto. Kilka pierwszych obchodów było skromnych, żniwa były niewielkie. Społeczność może nie głodowała, niezupełnie, ale wszyscy zaciskali pasa. Potem żniwa stały się obfite, a tańce i świętowanie trwało do późna w nocy. Lizzy uwielbiała każdy bez wyjątku festiwal, w jakim tylko mogła wziąć udział. Od kiedy była starsza, musiała zajmować się siostrami, zostając z nimi w domu w wieczory, kiedy inne dziewczęta spędzały na tańcach.

Kiedy miała szesnaście lat z oburzeniem odkryła, że oczekiwania jej rodziców nie zmieniły się. „To nie jest w porządku!” płakała przy kuchennym stole, chcąc pokazać swoją rozpacz, dzięki czemu puściliby ją. Nie pomogło. Jej ojciec sączył kawę, wyglądając na nieporuszonego, podczas kiedy jej matka patrzyła na nią z irytacją.

- Życie nie jest w porządku – taka była odpowiedź Bethy. – To twój obowiązek zająć się młodszymi.

- Aha – dodała Cara. Ojciec trzepnął ją po głowie i wrócił do picia mleka.

Lizzy zignorowała siostrę.

- A kiedy pójdą do łóżka? Wtedy zaczynają się tańce. Chcę iść na tańce.

- Nie zamierzam puścić cię samej na tańce, gdzie będą chłopcy.

Lizzy wpatrywała się z rozpaczą w matkę. To były najlepsze tańce w roku i każdy w jej wieku pójdzie. Będzie okropnie nie iść.

- Może mógłbym zaopiekować się nią – zasugerował Leon. Wzruszył ramionami, kiedy żona rzuciła mu spojrzenie.

Takie rozwiązanie było jeszcze gorsze niż okropne. Nikt nie zwróci na nią uwagi, jeżeli będzie tam jej ojciec! Lizzy spojrzała na krzesło obok niej, gdzie siedział Ril, z jednoroczną Mią na kolanach. Cierpliwie karmił ją papką z rzepy, ignorując całą rodzinną rozmowę.

Impulsywnie Lissy zarzuciła mu ramiona na szyję, a on drgnął, prawie upuszczając i łyżeczkę i dziecko.

- Ril mnie zabierze! – prosiła. – On mnie ochroni – przycisnęła swój policzek do jego, ramiona zacisnęłam na jego szyi. – Proszę, Ril – wyszeptwała, a on zadrżał. Kiedy to poczuła, jej serce zaczęło mocniej bić. Był bardzo ciepły, zauważyła. Jak również to, że wydawał się nie oddychać.

- Co powiesz na to Ril? – zapytał Leon.

Bitewnik zawahał się.

- Proszę - poprosiła znów Lizzy, przyciskając się do niego, kiedy zacisnęła uścisk. – Proszę!

- Okey – wymamrotał.

- Puść tego biednego człowieka – warknęła jej matka. – Udusisz go.

Lizzy puściła sylfa, uśmiechając się do niego promiennie, z rumieńcem na twarzy. Ril odwzajemnił spojrzenie, wydawał się niepewny, a ona nie mogła nic poradzić na to, że zaczęła zastanawiać się, dlaczego jego oczy są tak rozszerzone.

Ril był bitewnikiem jej ojca dłużej, niż żyła Lizzy. Przez większość tego czasu był ptakiem, porozumiewającym się z nią układaniem słów z liter na kartach. Utraciła te karty, wraz ze swoimi zabawkami, kiedy opuszczali stolicę Eferem, ale nie zauważyła tego, w zdumieniu, kiedy zobaczyła go jako mężczyznę. Kochała go jako ptaka. Kochała go nawet mocniej jako człowieka, całą namiętnością dwunastoletniego serca. Chociaż on wydawał się nie odwzajemniać tej miłości. Miłował ją, wiedziała o tym, ale miłował również Care, Nali, Raladę i Mię. Kiedy miała trzynaście lat, złamał jej serce. Jako szesnastolatka miała to już za sobą.

Teraz, kiedy szła z nim na tańce, ubrana w najlepszą sukienkę, a Ril w niebiesko- złote umundurowanie, zastanawiała się, czy coś z tej namiętności powróci. Jako szesnastolatka wiedziała, że jest już za stara na głupiutkie tulenie się, ale to było tak wspaniałe uczucie udawać, że przyszła z nim. Więc ścisnęła jego ramię, paplając i machając do przyjaciół i ciągnąc za sobą bitewnika, gdziekolwiek szła. Ril pozwalał jej na to, nie mówiąc nic, kiedy przeszli dookoła stołów, na których leżały plony. Lizzy śmiała się, kosztując jedzenia i uśmiechając się drwiąco do chłopców. Nie miała pojęcia, co wyczuwał od nich i nie pytała.

Bitewnik przy jej ramieniu, jak odkryła, ściągnął na nią więcej uwagi chłopców, niż kiedy byłaby sama. Upojeni słodkim ponczem i hormonami, wyzywali bitewnika rozmawiając z Lizzy, udając, że wcale ich nie przeraża. To ekscytowało ją nawet jeszcze bardziej.

- Nie odstrasza ich – Lizzy ostrzegła Rila, obserwując grupę chłopców idących w jej stronę. Trel Mils i Justin Porter byli pomiędzy nimi. Obaj byli o rok starsi. Ich uwaga sprawiła, że jej serce mocno biło.

Ril westchnął.

- Leon nie chciał, żebyś cokolwiek robiła.

- Czy rozkazał ci mnie powstrzymać? – parsknęła. – Nie zrobił tak, prawda? – Jej ojciec nigdy nie wydawał Rilowi rozkazów. – To, że ty nie lubisz dziewcząt, nie oznacza, że inni też nie lubią.

- Lizzy...

- Nic się nie stanie – zapewniła go. – Chcę się tylko trochę zabawić. I nie śmiej mówić ojcu!

Ril nie odpowiedział.

Chłopcy podeszli, a ona zapomniała o tuleniu się. Paplając pozwoliła Trelowi i Justinowi przynieść sobie szklaneczkę ponczu i jakieś przekąski, delektując się zazdrością innych dziewcząt tak bardzo, jak i poświęcaną jej uwagą. Była piękną dziewczyną, wiedziała o tym i przynajmniej teraz nie była otoczona przez trzy młodsze siostry, które lubiły sprawiać jej problemy. Kiedy zespół zaczął grać, może nie za dobrze, ale z entuzjazmem, pozwoliła znów prowadzić się po ścieżce, tam i z powrotem, do skrawka ziemi, który był wykorzystywany jako parkiet do tańca. Wydawało się, że wszyscy chłopcy chcieli wykorzystać swoją kolej.

Ril stał z boku, obserwując bez wyrazu... co ją martwiło, to dziwne, bo właśnie przeżywała najlepsze chwile w życiu. Był bitewnikiem, aseksualnym, złamanym. Odrzucił ją! Nie, zrobił nawet mniej. Ignorował ją, aż straciła wszelką nadzieję. Dlaczego więc czuła się winna?

Lizzy niemalże słyszała jego głos w swoim umyśle. Wydawał się mówić jej, że ci chłopcy chcą jedynie pokazać swoją odwagę tańcząc z nią. Chcą móc powiedzieć przyjaciółom, że tańczyli z nią, na przekór jej strażnikowi. Lizzy odrzuciła to z wściekłością. Chłopcy lubią ją. Spojrzała na Rila i odwróciła się do niego plecami, zwracając swoją uwagę na chłopaka, z którym właśnie tańczyła.

Justin Porter wydawał się niemalże bać położyć rękę na jej biodrze, kiedy prowadził ją, potykając się w tańcu. Był wysoki i szczupły, jego jabłko Adama podskakiwało w górę i w dół. Na twarzy miał trądzik, a jego włosy potrzebowały strzyżenia. Rękawy jego koszuli były za krótkie. Lizzy spojrzała na niego z uwagą. Był kimś, kogo знаła tylko trochę, ale był zawsze miły dla niej i był starszy. Dla niej starszy, oznaczało lepszy. Nie był tak okropnie stary jak Ril, chociaż nie miała pojęcia, jak wiele wieków ten żył.

Bitewnik nadal obserwował ją z dezaprobatą, wiedziała o tym. Impulsywnie, Lizzy uniosła się na palce i przycisnęła swoje wargi do warg Justina.

To był jej pierwszy pocałunek. Usta Justina były mokre, jego wargi cienkie, a on sam wydawał się być zaszokowany dotykiem. Fizycznie przypominało jej to trochę całowanie kawałka ciepłego mięsa, ale w chwili, w której to zrobiła, usłyszała okrzyki i klaskanie. Każdy to widział i zachęcał. Lizzy zaczerwieniła się.

Chwilę później Ril trzymał ją w ramionach. Warknął na Justina, który ledwie zdawał sobie sprawę, że był tam bitewnik. Chłopak po prostu wpatrywał się w Lizzy z wyrazem nagłej miłości na twarzy. Potem bitewnik jej ojca ściągnął ją z parkietu do tańca, mimo jej protestów wlekąc ją przez tłum i oddalając się.

- Przestań! - krzyknęła Lizzy, kiedy ciągnął ją przez ciemne i suche pole z powrotem w stronę miasteczka. – Puść mnie!

Ril puścił, w ciemności zwracając na nią swoje oczy. Ledwie mogła widzieć jego twarz, ale mogła wyczuć jego gniew.

- Co jest z tobą? – krzyknęła.



- Co jest z tobą? – odparował. – Mogłem wyczuć tych chłopców. Wszyscy chcieli pokazać, jacy są odważni, tańcząc z dziewczyną bitewnika – wskazał na nią. – Nie kochają cię!

Jej policzki zapłonęły i była szczęśliwa, że nie mógł tego zobaczyć w ciemności.

- Może o to nie dbam! Pomyślałeś o tym?

- Pocałowałaś go!

- Więc? – wrzasnęła. Ruszyła na Rila zmuszając go do cofnięcia się o krok. – To nie jest twój problem!

- A jak myślisz, po co tu przyszedłem? Twój ojciec...

- Nie mieszaj w to mojego ojca! – Uderzyła ręką o jego twardą pierś. – Nie dbam o to, co myśli mój ojciec! Jeżeli chcę kogoś pocałować, to mogę!

- Nie pozwolę ci!

Brzmiał tak oburzony, jego spojrzenie paliło zza tej długiej blond grzywki. Zawsze chciała zsunąć mu włosy z oczu, od kiedy pierwszy raz go zobaczyła. Przybrał wygląd jednej z postaci w jej ulubionej dziecięcej książce, którą ojciec czytał jej, kiedy leżała w łóżku, a Ril odpoczywał na poduszce obok jej głowy, często gładząc jej włosy, kiedy zasypiała.

Zaśmiała się. To było absurdalne. Czego spodziewała się po nim, ludzkiej reakcji?

- A jak zamierzasz to zrobić? – zapytała. – Będziesz strzegł mnie przez resztę mojego życia?

- Jeżeli będę musiał.

Myśl o Ril, podążającym za nią i odstrasżającym chłopców przez resztę jej życia, rozbawiła ją nawet bardziej, jej gniew zniknął ot tak, po prostu.

- No cóż. Nie martw się. Tak czy inaczej, to był okropny pocałunek – tak było. Otarła usta żalując, że to zrobiła, że próbowała rozzłościć Rila, kończąc na kłótni z nim. – To był mój pierwszy pocałunek. Czy wszystkie są takie złe?

- Nie wiem – odpowiedział. – Sprawdźmy – pochylił się i pocałował ją.

Lizzy zabrakło tchu, a jej serce niemalże przestało bić. Kiedy pocałunek Justina był jak całowanie kawałka ciepłego mięsa, wargi Rila był suche i pełne, i tak ciepłe, że przeszło ją drżenie, które przeszło od ust przez całe ciało aż do czubków palców u stóp. Jej oczy zamrugwały i zamknęły się. Stała tam po prostu, z ustami przyciśniętymi do jego ust i nie robiąc nic, poza czuciem. To było cudowne odczucie, tak cudowne, że w tej chwili miała wrażenie, że znów się w nim zakochuje.

Potem Ril odsunął się, jego oddech był ciężki, kiedy cofnął się w ciemność. Lizzy zachwiała się, odzyskała równowagę i spojrzała na niego.

- Ril? – powiedziała.

Ale on odsunął się, mówiąc jej, że to nigdy się nie stało, że nie zrobili tego, że on nigdy tak nie postąpi, nie dotknie jej, czy nawet nie spojrzy na nią. Tak właśnie było. Lizzy przypomniała to sobie, nawet kiedy zorientowała się, że śni o czymś, co zdarzyło się dwa lata temu. Ale tym razem Ril nie uciekł od niej. Zamiast tego zrobił krok w przód. Jego ubranie zniknęło zastąpione przez proste, brązowe ubranie podróżne, a jego twarz była wyczerpana i napięta z wysiłku.

- Lizzy! – krzyknął, chociaż jego głos był ledwie słyszalny. Wyciągnął do niej rękę, a jego postać zafalowała. To przypomniało jej inny sen, jaki miała, kiedy pocałował ją i nagle rozsypał się w nicłość.

- Ril! – odkrzyknęła. – Jestem tutaj! – pobiegła w jego stronę, ale nie mogła się do niego zbliżyć. Bez znaczenia jak szybko biegła, on nadal był o pół tuzina stóp od niej, wyciągając beznadziei po nią rękę. – Ril!

- Lizzy! Jedziemy po ciebie. Nie poddawaj się. Znajdziemy cię!

Oczy Lizzy rozszerzyły się i łzy pociekły jej po policzkach.

- My...my?

- Twój ojciec i ja. Leon... - nagle Ril przyłożył rękę do swojego czoła, krzywiąc się i scena zmieniła się z nocnego pola, po którym dawno temu wracali z tańców, na kuchnię w domu jej rodziców. Ril zadrżał i spojrzał za nią. – Leon.

Lizzy odwróciła się. Stojąc w drzwiach, ubrany w miękkie bawełniane spodnie i koszulę, w których zawsze spał, jej ojciec wpatrywał się w nią, jego włosy były rozczochrane, a oczy rozszerzone.

- Lizzy? – sapnął. – Dziecinko?

- Tatuś! – Lizzy rzuciła się na przód, płacząc. – Ocal mnie, tatusiu!

- Czekał... - zaczął Ril.

Lizzy wpadła w ramiona ojca, ale zamiast poczuć jego uścisk, upadła w nicłość, drżąc z przerażenia, kiedy sen rozwiął się. Ril krzyknął i zniknął razem z nim. Chwilę później obudziła się, mrugając. Jej serce biło szybko. Była w powrocie na łóżku, na którym zasnęła, w pokoju obok głównego haremu.

Ukryła twarz w poduszce i jęknęła.

Leon obudził się, dysząc. Śnił, że jest z powrotem w domu, gotowy żeby iść na górę, żeby, z jakiegoś powodu, zanieść żonie roślinę doniczkową. Nagle sen zmienił się. Oboje, Ril i Lizzy byli obecni, wizerunek bitewnika falował, chociaż jego córka wydawała się solidna

i rzeczywista. Sen był tak prawdziwy, ale kiedy Lizzy dotknęła go, obudził się. Przez chwilę wpatrywał się w sufit pokoju, oddychając ciężko. Ten sen był tak rzeczywisty, ale jak...?

Doszedł go cichy krzyk, tuż obok jego głowy i coś uderzyło w ścianę. Leon przeturlał się na bok i sięgnął do lampy oliwnej, podkręcając światło na maksimum. Na łóżku naprzeciw niego jęczał Justin. Ril leżał drżąc na bliższym łóżku, w drgawkach uderzając o ścianę. Zamigotał, próbując zmienić się w dym i błyskawice. Jeżeli bitewnik zmieni się, bez Luck utrzymującej go w całości, zginie.

- Ril! – wrzasnął Leon, gramoląc się z łóżka, podczas kiedy Justin usiadł, wyglądając na przestraszonego. Leon chwycił bitewnika, jego palce wbily się głęboko w ramiona sylfa i potrząsnął nim. – Ril, obudź się!

Przez sekundę myślał, że bitewnik nie posłucha, że Ril rozwieje się, aż nic nie pozostanie. Sylf wciągnął powietrze, mimo, że zadławił się, jego oczy otworzyły się, przerażone i blade.

- Co się dzieje? – zakał Justin.

Leon zignorował go, wpatrując się prosto w oczy Rila, kiedy odsunął ręce z jego ramion i przybliżył cztery palce pomiędzy ich nosami, na linii wzroku, żeby Ril miał na czym skupić spojrzenie.

- Ril, nie zmieniaj postaci. Wróć do postaci ludzkiej. To wyraźny rozkaz: wróć do postaci człowieka.

Ril zadrżał, niezdolny do myślenia, ale nie mogąc nie wypełnić rozkazu. Jego postać stężała, jego skóra pod ręką Leona stała się bardziej solidna. Wciągnął głęboki wdech i zaczął krztusić się, jego oczy zacisnęły się. Ktoś w sąsiedniej kabinie uderzył w ścianę, krzycząc na nich, żeby się zamknęli.

- Czy powiecie mi, co się dzieje? – zapytał Justin.

- Nie teraz – Leon usiadł na swoim łóżku, zasłaniając usta drżącą dłonią. Cała jego uwaga była skierowana na bitewnika, kiedy Ril znów zadrżał i powoli usiadł. Dygocząc przesunął się na jego kolana, patrząc na niego, pochylił się do przodu, ramionami obejmując swojego mistrza za szyję. Kiedy Ril całym ciałem opadł na niego, Leon poczuł jak bitewnik zaczyna ciągnąć jego energię, desperacko uzupełniając siły.

- Co się dzieje?

- Bądź cicho, Justin – rzucił Leon. Ril ciągnął tak mocno, że nie musiał się odprężyć, żeby to poczuć. Ostatnim razem miało to miejsce, kiedy sylf przyniósł całą rodzinę z Eferem do Społeczności, wyprzedzając powietrznego sylfa o tysiąc lat starszego od siebie. Wyczerpał się tak bardzo, że obawiał się, że zabije oboje, Solie i Leona, ciągnąc energię od nich. Mace upewnił się, że tak się nie stanie.

- To byłeś ty, prawda? – wyszeptał tak, żeby Justin go nie usłyszał. – To ty połączyłeś nasze sny?

Nadal drżąc, Ril skinął.

- Nie wiem jak – odszeptał w odpowiedzi. – Po prostu to zrobiłem.

- Dlaczego? – zapytał Leon. Widzieć znów swoją córkę, nawet tak przelotnie, było czymś cudownym, ale Ril prawie zabił się, robiąc to.

- Powiedziałeś mi, żebym to zrobił – odrzekł Ril.

Leon zeszywniał.

- Nie miałem na myśli...

- Wiem – Ril odsunął się i otarł usta. – Nieważne.

Spojrzał przez pokój na Justina, który siedział na swoim łóżku wpatrując się w nich i warknął.

Justin skulił się.

- Hej! Co zrobiłem?

- Patrzysz na mnie.

- Spokojnie – Leon położył rękę na ramieniu bitewnika. – Uspokójcie się, obaj. Nadal przed nami daleka droga.

Ril wzruszył ramionami, kładąc się jakby nic się nie wydarzyło, odwracając się plecami do obu. Leon nie wiedział, czy z nim wszystko w porządku, ale nie mógł pytać. Za bardzo chciał, żeby Ril znów połączył ich sny, żeby odszukać jego córkę i upewnić się, że wszystko z nią w porządku. Podniósł się i naciągnął na siebie ubranie, odnajdując buty, zanim wyszedł na zewnątrz, żeby oczyścić umysł.

- Co się dzieje? – zapytał Justin podążając za nim na pokład statku.

- Nic, czym musiałbyś się martwić – odpowiedział mu Leon. Byli nadal o trzy porty od Meridal. Kiedy przybędą, będą zbierać się na tyle długo, żeby rozładowano statek i zabrano nowych pasażerów i żeby mogli zmienić swoją opowieść, jeżeli mieliby nadal podróżować na południe. To zależało od Rila, czy pozostaną tak długo na statku. Leon miał nadzieję, że nie. Chciał coś zrobić. Chciał, żeby Lizzy była w tym mieście, najlepiej czekając na niego przy dokach.

- Muszę wiedzieć – odezwał się za nim Justin. Leon westchnął i obrócił się. Justin był mężczyzną, przypominał sobie i martwił się o Lizzy tak bardzo jak i oni. On również ryzykował swoje życie.

- Nie wiem, co się stało – przyznał Leon. – Wydaje mi się, że Ril przyłączył swój sen do mojego i Lizzy.

- Nie wiedziałem, że bitewnicy mogą zrobić coś takiego – sapnął Justin.

To tak jak i Leon. Ale Ril był jedynym bitewnikiem, który regularnie sypiał, jedynym, który śnił.

- Nie nazywaj go tym słowem – powiedział zamiast tego. – Nie tutaj.

Justin objął się ramionami.

- Czy on może to zrobić mnie? Zajrzeć do mojej głowy?

- Nie wiem.

Justin spojrział niepewnie na kabinę, najpewniej marząc, żeby wcale nie potrzebowali Rila, ale w końcu westchnął i odwrócił się.

- Czy z Lizzy w porządku?

- Wydaje się, że tak – przynajmniej w tym im ulżyło.

Justin uśmiechnął się, jego ramiona odprężyły się i opadły dalej od uszu.

- Zastanawiałem się. Nad tym, co będzie później. Chciałbym, żeby ziemny sylf mojego ojca, Stria, wybudował nam dom niedaleko jeziora, tam gdzie rosną krzaki czarnych jagód. Mój ojciec obiecał mi połowę swojego stada, kiedy się ożenię, więc będziemy mieć pieniądze. To nie jest wielkie stado, ale będę się nim zajmował – jego ramiona znów uniosły się. – Jeżeli nie sprzeciwisz się.

Leon zdołał uśmiechnąć się. Justin nie był pierwszą osobą, którą wybrałby na swojego zięcia, ale nie mógł zarzucić chłopakowi braku odwagi. Nikt inny nie zgłosił się na ochotnika do tej wycieczki.

- Nie wydaje ci się, że musisz zapytać Lizzy?

- Yyy, ale, no cóż, najpierw powinienem poprosić o twoje błogosławieństwa, prawda? Czy mam twoje błogosławieństw? Żeby poślubić twoją córkę?

Jego córka, małżeństwo. Wnuki. Leon uśmiechnął się lekko.

- Jeżeli ona powie ci tak, to masz moje błogosławieństwo.

Justin uśmiechnął się szeroko.

## Rozdział 11

Kiedy śniadanie najwyraźniej nie nadchodziło, Lizzy wytknęła głowę z pokoju, w którym spała i rozejrzała się nerwowo, na wypadek, gdyby coś czekało, żeby ją chwycić. Eapha była na zewnątrz, chichocząc szaleńczo, razem z pół tuzinem innych kobiet, które biegały wokół stołu w głównym pokoju, uciekając przed bitewnikiem z wytatuowanym na piersi numerem 200. Miał na sobie spodenki zasłaniające mu pośladki i wydawał się świetnie bawić, próbując je chwycić. Sylf złapał Eaphę dookoła pasa, przycisnął ją do piersi i wtulił twarz w jej szyję wężąc, kiedy pisnęła. Pozwolił jej uciec, rzucił się za następną kobietą, jego szponiaste nogi uderzały po marmurowej podłodze, kiedy gonił ciemnowłosą dziewczynę w dół sali. Lizzy musiała zachichotać. Wiedziała jak szybcy byli bitewnicy. Ten bawił się.

Eapha pospieszyła do niej.

- Dzień dobry, śpioszku. Spałaś całą noc.

Naprawdę? Lizzy przypomniała sobie swój sen i uśmiechnęła się.

- Wydaje mi się, że byłam zmęczona. Czy oni kiedykolwiek nas karmią?

- Oczywiście. Zostawiają jedzenie na drugim końcu. Większość jest już najpewniej zjedzona, ale coś powinno zostać.

Dziewczęta były więc zmuszone przejść przez całe pomieszczenie, jeżeli chciały zjeść, zorientowała się Lizzy. Zadrżała, ale wyszła z sypialni. Jej brzuch burczał i nie mogła ukrywać się wiecznie. Eapha tylko zaśmiała się i chwyciła ją za rękę prowadząc, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy oprowadzała ją. Lizzy podążyła za nią, owijając się ciasniej swoją muślinową szatą i starając się wygładzić palcami zmierzwiłone od snu włosy.

Mimo, że rozglądała się, nie zauważyła Dwieście, który pojawił się za nią, aż do chwili kiedy objął ją ramionami, położył ręce na jej piersiach i przyciągnął ją plecami do siebie. Lizzy krzyknęła.

Eapha obróciła się dookoła, oczy miała rozszerzone.

- Lizzy – wysapała. – Wszystko w porządku! Nie zrań go!

Zranić go? Jak ona spodziewała się, że to zrobi? Lizzy zastanawiała się, nawet kiedy Dwieście wtulił się w jej kark, zaciągając się głęboko jej zapachem. Znieruchomiał i chwilę później puścił ją. Lizzy spojrziała na niego i zobaczyła, że patrzy na nią ze zmieszaniem. Pochylił się nisko i znów powęszył. Potem spojrział na Eaphę i za siebie. Cicho, wykonał dyskretną serię ruchów ręką i wyprostował się.

- C-co? – wyjąkała Lizzy.

Eapha patrzyła zakłopotana.

- Nikt nie będzie jej chciał? – strach przeszedł jej twarz ciemnowłosej kobiety. – Muszą! – rzuciła spojrzenie na Lizzy i na bitewnika. Potem spojrzała za niego w górę, na ściany aż do sufitu. Zanim Lizzy odwróciła się, żeby zobaczyć na co patrzy, z wymuszonym wybuchem śmiechu Eapha chwyciła ich oboje za ręce i pociągnęła ich do najbliższej alkowy.

Pomieszczenie było małe, obite jedwabiem, z miękkim materacem położonym na podłodze. Eapha opadła na niego, ciągnąc za sobą bitewnika i odwracając swoją twarz na Lizzy.

- Jeżeli nikt nie chce cię, zmieniają cię w karmiciela.

- Co?

Eapha spojrzała na Dwieście.

- Muszą z nią spać!

- Nie, nie muszą! – pisnęła Lizzy.

Eapha chwyciła bitewnika za ramię.

- Obetną jej język, Tooie! Muszą!

Tooie spojrzał znów na Lizzy i z powrotem na Eaphę. W ciszy pokręcił głową.

- Więc... udawajcie!

Tooie zastanowił się i w końcu skinął głową, jego oczy zaiskrzyły się. Ułożył się na materacu i zaczął podskakiwać w górę i w dół. Materac zaskrzypiał głośno. Wyglądał na rozbawionego.

Lizzy zakłopotana spojrzała na Eaphę.

- Co się dzieje?

Eapha przechyliła się.

- Mówiłam ci. Zatrzymują tylko dziewczęta, które mają seks z bitownikami. Jednak Tooie mówi, że nikt nie będzie chciał ciebie. W tym miejscu to niemalże wyrok śmierci.

- Hmm. To nie tak, że chcę, ale... dlaczego nie?

Eapha wzruszyła ramionami i obróciła się, wykonując do Tooie serię ruchów ręki. Ku zaskoczeniu Lizzy, odpowiedział jej. Eapha wykonała ich więcej i w końcu skończyli.

- Mówi, że pachniesz, jakbyś już była związana. Naprawdę nie rozumiem. Będzie udawał, tak jak udaje z większością kobiet. Treserzy uważają, że jest bardziej aktywny, niż naprawdę jest. Nie będą zważać na jeszcze jedną.

- Nie rozumiem - odrzekła Lizzy.

Eapha zarumieniła się ładnie.

- Nie powinnam ci tego mówić. Ledwo cię znam... ale czułabym się okropnie, gdyby zmienili cię w karmicielkę, a Tooie chce, żebym zapytała się o tego partnera. Kiedy on czegoś chce, no wiec... - chwyciła się za włosy, szarpiąc z jękiem. – Nienawidzę tego! Lepiej żebyś nie była szpiegiem. Nie, nie możesz być szpiegiem. Tooie wiedziałby.

Tooie wykonał więcej gestów do niej, kiedy podskakiwał i w końcu Eapha westchnęła i założyła ręce.

- To treserzy. Są złem. Znam Tooie od lat. Kocha mnie i nie chce być z kimś innym poza mną, ale treserzy nie chcą, żeby bitewnicy zakochiwali się. Gdyby wiedzieli, że mnie kocha, zaraz zmieniliby mnie w karmiciela. Więc żeby to ukryć udaje, że śpi z całą gromadą kobiet.

Lizzy otwarła buzię, nawet mimo tego, że miała sześćoletnie doświadczenie w postępowaniu z bitownikami. Jeżeli dało się im wybór, wszyscy z nich woleli monogamię.

- Naprawdę?

Eapha spojrzała znów na Tooie, a uczucia widoczne na jej twarzy sprawiły, że Lizzy ścisnęło się gardle.

- Tak. Jest grupa pomiędzy nami i bitownikami, którzy chcą mieć wyłączność. Tooie udaje, że śpi z nami wszystkimi. Tak jak i pozostali bitownicy. Tylko jakiś tuzin z nich wie, jak to działa, chociaż planują, kto będzie z kim. Uwierz mi, większość bitowników nie rozmawia z sobą wcale. Naskakują na każdego, kto się nimi interesuje.

Lizzy zauważyła, że Eapha nie powiedziała nic na temat, czy jakikolwiek z tych bitowników okazał zainteresowanie nią.

- Jak z nim rozmawiasz? – zapytała zamiast tego.

- Gestami – Eapha wykonała kilka ruchów ręką. Tooie odpowiedział jej. – Każdy coś znaczy. Jedna z kobiet, która była tu kilka lat temu, miała głuchego brata. Nauczyła gestów kilka dziewcząt i kilku bitowników. Niewielu z nas wie, jak to robić, trzymamy to w sekrecie – jej twarz stwardniała. – Nauczę cię znaków, ale proszę, nie wykorzystuj ich poza alkową, jeżeli tylko możesz i uważaj, kto to widzi. Tooie nigdy nie powinien robić tego na zewnątrz, ale zaskoczyłaś go. Mnie również. Treserki obserwują nas przez odpowietrzniki w suficie. Gdyby wiedziały, co robimy, zmieniłyby nas wszystkich w karmicieli. A Tooie i pozostałych spotkałoby coś nawet gorszego. Oni nie powinni wcale mówić. Trenerki nie mają pojęcia. Nie widzą, co dzieje się w alkowach, a zazwyczaj tylko tam mówimy. Proszę, bądź ostrożna. Uważamy, że niektóre dziewczęta szpiegują dla trenerek i jest wielu bitowników, którym nigdy nie zaufałabym.

Za nimi Tooie nadal podskakiwał na łóżku, za każdym podskokiem uderzając rękami o sufit. Lizzy obserwowała go przez chwilę, zanim spojrzała znów na Eaphę. To byli przyjaciele, nie pozwoliła sobie na wątpliwości. A w tym miejscu potrzebowała przyjaciół. Teraz miała dwójkę.



- Czy ktokolwiek kiedykolwiek uciekł? – zapytała.

- Nie. Znam kobiety, które próbowały, ale jedyne wejście jest przez drzwi, a one są zamknięte i strzeżone – Eapha zauważyła, że Lizzy patrzy na Tooie i zaśmiała się gorzko. – On nie może nam pomóc. Jest pod wpływem rozkazów, które nie pozwalają nas uwolnić. Bitewnicy nie mogą sprzeciwić się swoim mistrzom, wiedziałas o tym?

Lizzy skinęła głową. W domu nikt nie zęcał się nad powiazanymi z sobą sylfami. Słyszała o jednym mężczyźnie, który zęcał się nad swoim ogniowym sylfem, ale bitewnicy wyczuli jej cierpienie i powiedzieli Solie. Dała sylfowi nowego mistrza, a oprawcę wygnała. Miał szczęście, że bitewnicy go nie zabili. Chcieli. Również jej ojciec bardzo uważał, żeby nie wydawać rozkazów Rilowi, wiedząc, że w tym przypadku Ril nie ma innego wyboru, tylko posłuchać.

Myśląc o blond bitewniku, o ciepłe jego warg Lizzy zaczerwieniła się. Przybywali po nią, Ril i jej ojciec. Powiedział jej tak we śnie. Ale czy to było możliwe? Lizzy chciał wierzyć w każdy okrucieństwo nadziei, jaki jej pozostał, ale tak niewiele jej pozostało po tygodniach zamknięcia w ciemności, a teraz w tym miejscu, z jego miękkimi draperiami i niekończącą się żądzą.

Mogła poczuć to teraz, kiedy odpoczęła i uspokoiła się: potrzeba bitewników roznosiła się po całym w haremie, zmieniając zahamowania kobiet w niekontrolowane pożądanie. Jeżeli kobieta nie była chętna, oni sprawiali, że nabierała ochoty. To miejsce pomiędzy nogami Lizzy załaskotało, nawet kiedy otuliła się ramionami, starając się ukryć widok swojej nagości przed oczami Eaphy i Tooie. Nie żeby któreś z nich na to zważało. Jak ktokolwiek w tym miejscu mógłby chociażby udawać skromność? Chociaż nie opuściła ramion. Jeszcze nie. Miała nadzieję, że nigdy. Nie chciała nigdy stać się użyteczna w tym miejscu.

Proszę, Ril, pomyślała. Nie pozwól, żeby to był tylko sen.

- Co teraz? – wyszeptala.

Eapha wzruszyła ramionami.

- Śniadanie?